

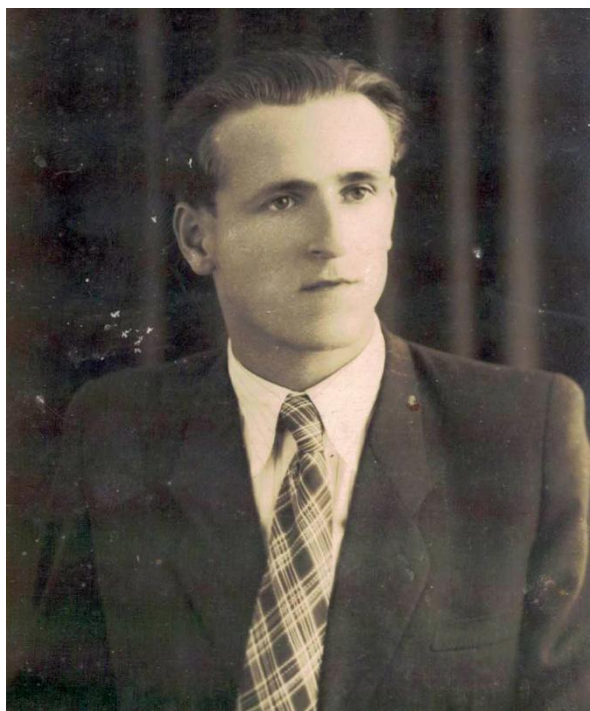
Niezlomny z Malinówki i ślady przeszłości, które przemówiły.

Jan Kielar urodził się 17 września 1925 r. w Malinówce, w powiecie brzozowskim, w województwie lwowskim. Był synem Franciszka i Marii z Szymańskich, narodowości polskiej, wyznania rzymskokatolickiego. Miał siedmioro rodzeństwa, trzech braci i cztery siostry (był piątym w kolejności: po Władysławie, Zofii, Anieli i Stanisławie, a przed Czesławem, Bronisławą i Heleną).

Rodzina, w której się wychowywał żyła skromnie, mieli własny dom i nieduże gospodarstwo w przysiółku Malinówki, zwanym Górą. Ojciec i matka ciężką pracą, i na miarę swoich możliwości, starali się zapewnić potomstwu odpowiednie warunki bytowe oraz wychować go w duchu wierności ideałom chrześcijańskim i patriotycznym.

W rodzinnej miejscowości ukończył 7-klasową szkołę powszechną. Marzenia o dalszej edukacji zniweczył wybuch II wojny światowej.

We wrześniu 1939 r. Jan był zbyt młodym, aby w mundurze polskiego żołnierza stanąć z bronią w rękę do walki z najeźdźcami.



Jan Kielar ps. „Karolina” (ze zbioru Jana Kielara)

W rodzinie ten obowiązek mężnie spełnił jego najstarszy brat Władysław, żołnierz 48 Pułku Piechoty Strzelców Kresowych ze Stanisławowa.

Po zażartym boju pod Janowem Lwowskim, stoczonym przez przebijające się do Lwowa pododdziały 11 Karpackiej Dywizji Piechoty, został ciężko ranny w nogę i trafił do szpitala. Stamtąd informacje o nim dotarły do Kielarów.

Janowi pozostało na zawsze w pamięci późniejsze zachowanie się rodziny. Najpierw rodzice rozsądziła, że nigdy nie pozostawią swojego dziecka na pastwę losu. Potem ojciec uznał, że on

sam musi pomóc rannemu w miejscu jego pobytu. Na końcu zapadło milczenie oznaczające, że w stanie wyższej konieczności rodzina Kielarów akceptuje niebezpieczeństwo takiej wyprawy.

Oczekiwanie na ojca dłużyło się im wszystkim w nieskończoność. Powrócił do domu dopiero po wielu dniach. Potem z bólem serca opowiadał o swoich przeżyciach. Był w mieście, które jeszcze parę dni wcześniej było stolicą ich województwa. Po tym, jak wrogie nacje dokonały czwartego rozbioru Polski, Lwów znalazł się na obszarze podbitym przez Sowieców, poza strefą okupacji niemieckiej. Musiał pokonać silnie strzeżoną granicę, którą agresorzy ustanowili pomiędzy sobą na pobliskim Sanie. Pomocną była tu biegła znajomość ich języków, którą wyniósł z okopów I wojny światowej. We Lwowie odnalazł szpital, przekupił kogoś z personelu wojskowego sowieckiej administracji i dotarł do syna. Był zdeterminowanym, aby wykraść go stamtąd. Stan Władysława okazał się jednak na tyle poważny, że pobyt poza nim groził utratą życia. Amputowano mu nogę, przy czym zabieg przeprowadzano aż dwukrotnie, ponieważ rana uległa zakażeniu gangreną. Brat Jana wymagał długotrwałego leczenia i nie zniósłby poniewierki w drodze do domu. W tych okolicznościach pozostał ojcu już tylko samotny powrót.

Najważniejszym było to, że rodzina nawiązała kontakt z Władysławem.



Najstarszy brat Władysław, w mundurze 48 Pułku Piechoty Strzelców Kresowych ze Stanisławowa
(ze zbioru Jana Kielara)

Z czasem zaczęły docierać do Malinówki coraz to lepsze wiadomości od niego.

Okazało się, że w całym tym nieszczęściu Opatrzność sprawiła, że rannym zaopiekowała się pracująca tam polska sanitariuszka, Jadwiga. Dzięki niej powoli doszedł do siebie. W 1941 r. wziął z nią ślub kościelny. Mieszkali tam do zakończenia wojny, później musieli wyjechać ze

swojego ukochanego Lwowa do Polski, ponieważ znowu znalazł się on poza granicami naszego kraju.

Ta próba losu, jakiej już na początku wojny została poddana rodzina Kielarów, uświadomiła Janowi, że łączą ich niezwykle silne więzi. Byli oni zdolni do największych poświęceń, zarówno dla rodziny, jak i ojczyzny.

Z początku niemieckiej okupacji Janowi szczególnie utkwiał w pamięci kpt. Ignacy Wanic, który przez wiele miesięcy ukrywał się w ich domu. Był on przedwojennym oficerem Korpusu Ochrony Pogranicza i jednym z inicjatorów konspiracji niepodległościowej w Brzozowskim. Używał pseudonimów „Andrzej”, „Jaksa”. Dostęp do niego miało tylko kilka zaufanych osób, w tym jego brat Bolesław. Niejednokrotnie odbywał z nimi wielogodzinne spotkania, zawsze za zamkniętymi drzwiami. Jan był wtedy zobowiązany do obserwowania, czy nie ma obcych w pobliżu domu. Pod koniec 1940 r. kpt. Wanic wyprowadził się od nich, nastąpiło to potem, jak został Komendantem Obwodu Brzozów Związku Walki Zbrojnej.

Na kwatere do Kielarów podesłał go wspomniany Bolesław. Przed wojną służył on w Policji Państwowej w Brzozowie, skąd wyniósł rozległą wiedzę o lokalnej społeczności. Posiadał dwa domy, z których ten w Brzozowie udostępnił siostrze zakonnej ze Zgromadzenia Służebniczek Najświętszej Maryi Panny ze Starej Wsi. Ich przełożoną była współpracująca z ZWZ siostra Celestyna. Z rodziną wprowadził się natomiast do drugiego z nich, który stał na uboczu, na skraju lasu pomiędzy Wolą Orzechowską, a Malinówką. Posiadał tam około 3-hektarowy areał ziemi, z dużym sadem oraz trzema stawami. Do niego należał ponadto około 25-hektarowy las, nazywany „wanicowym”. Znał on ojca Jana głównie stąd, że ten często pozyskiwał drewno z jego lasu. Poza rolnictwem Bolesław parał się też masarstwem. W zamian za te usługi oraz drewno Kielarowie pomagali mu w pracach polowych.



Ojciec, Franciszek Kielar (na zdjęciu z okresu powojennego, ze zbioru Jana Kielara)

Jan lubił spędzać tam czas, ale z całkiem innego powodu. Bolesław był ojcem trzech córek o wyjątkowej urodzie.

Dotarcie do ich domu wymagało jednak pokonania blisko kilometrowej drogi, pełnej wertepów. Zajmowało to sporo czasu, lecz można było tam dotrzeć też szybciej, „na skróty” przez „wanicowy” las. Podążając taką drogą, w odległości około 300–400 m od zabudowań, Bolesława przypadkiem natknął się na budowlę zamaskowaną niskim młodnikiem. Była ona wkomponowana w zbocze jednego z kilku występujących tam jeziorów wyżłobionych w leśnym terenie przez głębokie potoczyska. Kamieniste koryto strumienia było prawdopodobnie wykorzystywane jako droga do schronu, ponieważ nigdzie nie było widocznych śladów obuwia. Również w najbliższej okolicy nie dawało się zauważyć świeżych śladów ludzkiej egzystencji.

Obiekt posiadał słupową, dwukondygnacyjną konstrukcję oraz ściany z desek. Mógł mieć około 3 m szerokości, 4 m długości i podobną wysokość. Ciekawość zawiodła Jana do środka. Nikogo nie zastał, ale przedmioty oraz panujący tam ład i porządek, zdradzały kim mogli być jego użytkownicy. Pozostawili oni po sobie cztery łóżka zasłane wojskowymi kocami w kolorze khaki oraz zawieszone na ścianach polskie mundury wojskowe, karabiny i strzelbę myśliwską. Najbardziej zaskoczyło Jana to, co mieściło pomieszczenie na piętrze. Na stole, otoczonym ławkami, stały w gotowości do użycia dwa niewielkich rozmiarów bloki radiostacji. Poprzez dach, w koronę najbliższego drzewa, odchodził od nich izolowany kabel antenowy. Odkrywca zdawał sobie sprawę, że był tu nieproszonym gościem. Nie chcąc ryzykować spotkania z nikim twarzą w twarz, pośpiesznie opuścił to miejsce. Wrócił tu jeszcze raz, ale również wtedy nikogo tam nie zastał.

Jan nikomu nie wyjawiał swojego odkrycia. Po pewnym czasie budowla zniknęła, ale kiedy to nastąpiło, nie potrafił już tego skojarzyć.

O istnieniu wspomnianego schronu wiedzę posiadało tylko kilka najbardziej wtajemniczonych osób. Podlegał on Inspektorowi Inspektoratu Podkarpacie ZWZ mjr Witoldowi Obidowiczowi ps. „Orszak”, kwaterującemu w domu Ireny Preisner (zwanej Irmą), w pobliskim przysiółku Zapolany, należącym do Orzechówki.



Mjr Witold Obidowicz „Orszak” (na zdjęciu z okresu przedwojennego w stopniu kapitana, źródło: Ł. G. Świtalski „Z walk na Podkarpaciu”)

Wraz z „Orszakem” na tej kwaterze przebywało jeszcze trzech innych oficerów (taką informację autor uzyskał od Jana Szmyda z Orzechówki, żołnierza AK, rocznik 1921, którego ciotką był Irena Preisner). Byli to: jego adiutant por. Henryk Pilawski „Hrabia”, Komendant Obwodu Brzozów kpt. Ignacy Wanic „Jaksa”, oraz NN o otyłej posturze (wg historyka Czesława Nowaka prawdopodobnie był nim z-ca Inspektora mjr Władysław Garlicki). Schron miał służyć dowództwu na wypadek nagłej konieczności opuszczenia dotychczasowej kwatery. Radiostacja, w którą go wyposażono, pracowała głównie w trybie nasłuchu. Obsługiwał ją m. in. Bolesław Wanic. Informacje pozyskiwane tą drogą służyły przede wszystkim do redagowania prasy konspiracyjnej. Prawdopodobnie w jej dystrybucję mogły być zaangażowane siostry zakonne zamieszkałe w domu Bolesława w Brzozowie.

Jan wspominał, że zakonnicom tym złożył niespodziewaną wizytę gestapowiec, podobno w sprawie mieszkania i zauważył nierozważnie pozostawioną gazetkę. Pech chciał, że znał on język polski i dlatego zainteresował się nią. Skutkiem tego było aresztowanie w dniu 19 lutego 1942 r. siostry Celestyny (Katarzyna Celestyna Faron została zamordowana w Auschwitz-Birkenau 9 kwietnia 1943 r. (w dniu 13 czerwca 1999 r. była beatyfikowana przez Ojca Świętego Jana Pawła II w gronie 108 Męczenników II wojny światowej).

Mój rozmówca znał również wiele szczegółów dotyczących podstępnego aresztowania Bolesława Wanica. Nastąpiło ono na drugi dzień po aresztowaniu siostry Celestyny. Poszukując Bolesława, gestapowcy dotarli do sołtysa w Malinówce. Mówiono, że nie byli zorientowani, gdzie Bolesław zamieszkuje, dlatego wysłali po niego gońca z wiadomością, aby natychmiast zgłosił się do nich w sprawach administracyjnych. Zagrozili, że w innym przypadku spalą mu dom, a jego rodzina poniesie surowe konsekwencje. Bolesław, w obawie o rodzinę, uczynił tak, jak chcieli. Zaraz potem został aresztowany (zamordowano go w Auschwitz – Birkenau 3 marca 1943 r.).

Potem, jak udało się ustalić, wydarzenia potoczyły się niczym kula śniegowa. W kolejnym dniu, tj. 21 lutego, gestapo okrążyło kwaterę Inspektora Obidowicza w domu „Irmy”. Przy próbie wydostania się z niego poległ jego adiutant por. Henryk Pilawski. Gestapo odnalazło w zabudowaniach akowskie archiwum. Zawierało ono m. in. wrażliwe dane osób pełniących ważne funkcje w lokalnych strukturach konspiracyjnych ZWZ-AK.

W dniu 22 lutego w Krośnie aresztowano mjr Witolda Obidowicza „Orszaka” (został zamordowany w Auschwitz – Birkenau 17 marca 1944 r.). Do kwietnia 1942 r. liczba zatrzymanych zwiększyła się do około 700 osób. Ich skutkiem było sparaliżowanie prawie na rok działalności Inspektoratu Podkarpacie Armii Krajowej.

Wśród aresztowanych znalazł się ksiądz Jan Haligowski, przed wojną związany z Parafią w Zręcinie, w czasie kampanii wrześniowej kapelan 6 Pułku Ułanów Kaniowskich, a w czasie aresztowania pełniący posługę kapłańską w Bliznem koło Brzozowa. Lokalny historyk, Jurek Szczur, w opublikowanym artykule „Oto człowiek – ułan naszego Boga” zawarł jego wspomnienia z tego okresu, fragment poniżej:

„Powalono mnie na krzesło - wspomina - jeden z gestapowców usiadł na moich ramionach, dwaj inni gestapowcy bili mnie kijami po całym ciele i rozkazali liczyć mi uderzenia, doliczyłem się 45 podwójnych i zemdląłem”. (...) Jeden z oprawców pochyła się nad

skatowanym ciałem kapłana – oddycha mówi - wtedy padają ponownie obelżywe słowa, drugi kopie, gdzie popadnie leżącego oficera, tego kapłana i ułana Pana Boga i ojczyzny. „Podniesiono mnie, opowiada ks. Jan, i niby w celu zapobieżenia skrzepu krwi zaczęły się ćwiczenia „gimnastyczne”. Założono mi maskę gazową i kazano robić przysiady, po 26 zemdlałem ponownie (...) Zamknęli mnie w pojedynczej celi zwanej Trupiarnią, i ponowne przesłuchanie, tym razem przywiązano mnie do specjalnie na ten cel przygotowanej ławce”. Nie mógł już zapewne znieść tego wszystkiego. Odezwał się. Niemcy myśleli, że będzie sypał, a on zaczął ich prosić, by go zastrzelili. Nie tak szybko - usłyszał od oprawców - musisz jeszcze zaliczyć ciemnicę. Nie wiedział, co to oznacza. Rozebrali go do naga i ponownie bito, uderzając trzcina w miejsca, które nie były jeszcze napuchnięte. Postawiono go obok pieca, by patrzył jak robią to samo z innym więźniem. Gorąco wydobywające się z pieca potęgowało ból ran. Nie wytrzymał, stracił przytomność kolejny raz. Upadając na piec, wypalił sobie czoło. Potem ciemnica. (...) W ciemnicy, jak sam podaje „5 na 12 stóp”, spędził 5 dni, całkowicie bez jedzenia i toalety bądź czegoś, co by ją przypomniała. Potem ostateczne przesłuchani. Wspomina: „byłem całkowicie zrezygnowany, jeżeli miałem cokolwiek na myśli, to tylko przychodziła śmierć. Utraciłem głos, ręce spuchnięte, odmrożone nogi, zamiast moczu wydalałem krew, na pośladkach 8 dziur wybitych, aż do kości. Zaniechano przesłuchań i umieszczono mnie w szpitalu”. W szpitalu nie było żadnych lekarstw, a od lekarza usłyszał, że trzeba będzie amputować obie nogi do kolan, jeżeli nie pomoże jodyna, bo widać początki gangreny.(...) „Moje odmrożone palce u nóg piekły tak bardzo, że nie byłem w stanie znieść i po prostu wyłem z bólu (...) Choć te przeżycia nad wyraz ciężkie, jestem rad sam z siebie, że Stwórca dodał mi sił, by znieść to wszystko i nie wyjawić nikogo i ani jedna osoba nie była aresztowana wskutek moich zeznań”. Podczas tylko pierwszego przesłuchania aż sześciokrotnie stracił przytomność (...) „gestapowcom chodziło o wyjawienie nazwisk członków Związku Walki Zbrojnej, gdyż - że ja jestem w niej zaangażowany - dobrze wiedzieli. Nie należę do bojaźliwych, a i fizycznie dość jestem odporny, a zdając sobie sprawę, że jeżeli raz ulegnę i podam choćby jedno nazwisko, nie tylko nie uwolnię siebie od dalszych tortur i męczarni, a wciąż będą pytali o dalsze - postanowiłem znosić wszystko, raczej pod ciosami ponieść śmierć, niżbym miał narazić kogoś z członków zaprzysiężonych w organizacji. (...) Ks. mjr Haligowski na podstawie rozmowy w obozie oświęcimskim z mjr Obidowiczem, aresztowanym szefem Inspektoratu Krosno, którego rozstrzelano (i również w oparciu o swoje spostrzeżenia), obciążył jednoznacznie winą za swoje aresztowanie Z. Sobotę, współtowarzysza z Ruchu Oporu, późniejszego żołnierza wyklętego, czemu dał wyraz w listach, które po wojnie przysyłał z USA”.

Świadectwo księdza Haligowskiego pozostaje jednym z kluczowych w ustaleniu faktycznego sprawcy tak precyzyjnych aresztowań gestapo. Zenon Sobota ps. „Jan”, „Świda”, „Korczak” (ur. 20.09.1906 r. w Przysietnicy k. Brzozowa, zm. 2.07.1952 r. w Zwierzyńcu) pełnił wówczas funkcję Szefa Wywiadu Inspektoratu Podkarpacie i jako nieliczny posiadał tak rozległą wiedzę o organizacji i postaciach sprawujących w niej kierownicze funkcje. Już wtedy wiele osób podejrzewało go o współpracę z gestapo. Był dwukrotnie aresztowany. Przy pierwszym zwolniono go po krótkim śledztwie, pomimo obciążających go zeznań współpracujących z nim konspiratorów. Przy drugim udało mu się zbiec w czasie

prowadzenia go przez niemieckich policjantów. Kontrwywiad ZWZ ustalił, że jego nazwisko znalazło się na liście informatorów szefa gestapo w Jaśle. Inspektor mjr Obidowicz zarządził wobec niego śledztwo. Musiało ono niepodważalnie dowieść jego winy, ponieważ zapadł na niego wyrok.

„Orszak” wydał dowódcy Placówki ZWZ Frysztak, Władysławowi Stecowi ps. „Walek” rozkaz wykonania wyroku śmierci na Zenonie Sobocie. Wiele lat później jego niedoszły wykonawca ujawnił ten fakt przywołanemu wcześniej Czesławowi Nowakowi. Niewykonanie go tłumaczył zażądaniem od „Orszaka” wydania rozkazu w formie pisemnej, a takiego już nie otrzymał od Inspektora z powodu jego aresztowania.

Przywołane okoliczności mogą dowodzić, że „ogniskiem zapalnym” wcale nie musiała być gazetka znaleziona u sióstr zakonnych ze Zgromadzenia Służebniczek Najświętszej Maryi Panny ze Starej Wsi. Jej „rozdmuchane” znalezienie mogło być natomiast perfidną prowokacją i pretekstem uruchomienia już wcześniej tak szczegółowo zaplanowanych i szeroko zakrojonych działań operacyjnych podjętych przez gestapo wobec ZWZ na Podkarpaciu. Autor podziela wyrażony wcześniej osąd Zenona Soboty. Szczególnie mocno utwierdzają go w tym badania (prowadzi je od kilku lat) losów bohaterskiego mjr Jana Ptaka ps. „Janek” Szefa Ekspozytury Oddziału II Komendy Głównej Armii Krajowej na Podkarpaciu (Prywatne Muzeum Podkarpackich Pól Bitewnych w Krośnie posiada poświęconą mu ekspozycję „W służbie Polsce”). Jego działalność nie podlegała dowództwu AK na tym terenie i prawdopodobnie tylko dlatego nie doszło wtedy do jego zdekonspirowania. Ponad rok później od opisywanych zdarzeń, 26 czerwca 1943 r., został on aresztowany przez gestapo i uwięziony w Jaśle. Z notatki Andrzeja Zagórskiego, sporządzonej w Krakowie z rozmowy w dniu 4 i 5 sierpnia 1968 r. z żołnierzem NOW-AK Stanisławem Nitką ps. „Szech”, można dowiedzieć się, że „Ptak” miał wysłać z więzienia w Jaśle gryps obciążający „Świdę” Zenona Sobotę oraz, że „Schumacher”, funkcjonariusz gestapo z Jasła, siedział po wyzwoleniu z jednym z członków AK, któremu powiedział, że Sobota współpracował z gestapo” (zbiory Muzeum Pałac w Dukli).

Akcją o kryptonimie „Pensjonat”, mającą na celu odbicie z jasielskiego więzienia mjr Jana Ptaka, na rozkaz Komendy Głównej Armii Krajowej, dowodził Zenon Sobota. Została ona przeprowadzona w czasie, gdy „Janka” już w nim nie było. Okoliczności i jej przebieg zastanawiają, czy nie służyła ona do odwrócenia podejrzeń od osoby Zenona Soboty i do legendowania go za cenę uwolnionych więźniów? Ciąg dalszy zdarzeń, związanych ze „Świdą”, utwierdza, że właśnie tak się stało. Autor doszedł również do przekonania, że nawet tak spektakularna akcja nie byłaby wystarczająca do jego szybkiej kariery w strukturach Armii Krajowej, gdyby nie miał on parasola ochronnego i wsparcia kogoś umocowanego w samej Komendzie Głównej AK w Warszawie.

W oparciu o informacje od Jana Kielara, udało się we wrześniu 2019 r., odnaleźć miejsce, w którym funkcjonowała partyzancka radiostacja. W badaniach terenowych wziął udział zespół Stowarzyszenia Eksploracyjno-Historycznego „Galicja” kierowany przez Artura Hejnara oraz ekipa TVP Historia Adama Sikorskiego. Materiał filmowy z tych poszukiwań pt. „Radiostacja zamilkła” został wyemitowany w cyklu „Było, nie mięło”.

Eksploracja terenu pozwoliła poznać wiele nieznanych dotąd faktów oraz połączyć je ze źródłami archiwalnymi i osobowymi. Przede wszystkim dowodziły one istnienia zakonspirowanego schronu, w którym funkcjonowała partyzancka radiostacja. Był on raczej sporadycznie wykorzystywany, ale pozostawał jednym z kluczowych miejsc działalności podziemia niepodległościowego na Podkarpaciu od drugiej połowy 1941 r. do lutego 1942 r. Potwierdziły się również informacje, że sztab Inspektoratu dysponował pracującą radiostacją, co w tamtym okresie było fenomenem w skali kraju. Jak dotychczas pozostaje zagadką, jakiego była ona typu.

Odnalezione fragmenty grubych desek oraz elementy drewnianych słupów z nabitymi gwoździami świadczyły o ich pierwotnym przeznaczeniu. W ocenie, sprawującego nadzór archeologiczny dr Wojciecha Pasterkiewicza, niektóre z przedmiotów nosiły ślady ognia. Natomiast redaktor Adam Sikorski zwrócił szczególną uwagę na nienaturalnie zdeformowane zbocze potoku. Jego zdaniem może ono świadczyć o wysadzeniu obiektu za pomocą materiałów wybuchowych.



Zdaniem redaktora Adama Sikorskiego (po lewej, obok autor) schron z akowską radiostacją został wysadzony przy użyciu materiałów wybuchowych (fot. Artur Hejnar)

Teza ta, w dużym stopniu znajdowała potwierdzenie w ówczesnych realiach. Grypsy od aresztowanych oraz informacje od strażników więziennych współpracujących z podziemiem napawały grozą. Wielu akowców, bestialsko męczonych, nie wytrzymało w śledztwie tortur. Szczególnych doświadczył mjr W. Obidowicz, któremu niemieccy zwyrodnialcy z gestapo nakładali na głowę specjalną stalową obręcz, a następnie śrubami ściskali ją, powodując jego niewyobrażalne cierpienie. Ta trwająca około pół roku gehenna w jasielskim więzieniu doprowadziła majora Obidowicza niemal do obłądu.

Wobec tych okoliczności, pozostałym na wolności przyszło działać pod ogromną presją czasu. Zachodziła obawa, że Niemcy mogli dowiedzieć się już o schronie i radiostacji. Decyzja o likwidacji zagrożonego obiektu poprzez wysadzenie go za pomocą ładunków wybuchowych mogła być jedynym rozwiązaniem. Inne, takie jak rozebranie i zatarcie śladów lub podpalenie go mogło być kłopotliwe z uwagi na potrzebnych ludzi, porę roku oraz unoszący się słup dymu nad lasem, który mógł zwabić Niemców. Samo spalenie obiektu wkopanego w zbocze wymagało użycia np. benzyny, a zdobycie jej w odpowiedniej ilości mogło być wtedy większym problem niż „pozyskanie” materiału wybuchowego.

O wybuchu mogły również świadczyć elementy obiektu, które znaleziono naprzeciw stoku zbocza, na którym był on posadowiony. Jego skutkiem mogła być też defragmentacja miedzianej linki. Znaleziono jej kilka kawałków i pierwotnie mogły one być kablem antenowym, który był wtedy rozpostarty w koronie drzewa.

Najcenniejszym znaleziskiem okazał się jednak polski karabin wz. 29 kal. 7,92 mm produkcji FB Radom. Został on znaleziony na zboczu strumienia, w bezpośrednim sąsiedztwie obiektu. Był ledwo przyprószony cienką warstwą poszycia leśnego.

Mógł w tym miejscu zostać ukryty lub zagubiony przez osobę, którą później aresztowano i która po niego już nie wróciła. Mógł też świadczyć o pośpiechu, który towarzyszył akcji ewakuacyjnej schronu prowadzonej w warunkach zimowych, przed wysadzeniem go. W takim przypadku, wyleciałby w powietrze razem ze schronem, zgodnie z tezą wysuniętą przez Adama Sikorskiego.

Z czasem polski mauser został przykryty kolejnymi warstwami liści, igliwia i grudek ziemi znoszonej na niego przez wodę ze stromego zbocza.

Odnalezienie karabinu było bardzo istotne, ponieważ stawiało zachowanie się w śledztwie aresztowanych w całkiem innym świetle, niż dotychczas sądzono. Pomimo bestialskich tortur konspiratorzy nie ujawniali całej swojej wiedzy konspiracyjnej i najprawdopodobniej w większości przypadków przyznawali się tylko do tego, co gestapowcy już odkryli w dokumentach przejętego archiwum.



Odrestaurowany w Prywatnym Muzeum Podkarpackich Pól Bitewnych w Krośnie kbk wz. 29 kal. 7,92 mm prod. FB Radom, który znaleziono w trakcie realizacji programu TVP Historia wyemitowanym w cyklu „Było, nie mięło”, pt. „Radiostacja zamilkła” (fot. L. Wilk)

Dowodził on niezbiecie tego, że od maltretowanych ludzi Niemcy na pewno nie dowiedzieli się o schronie i radiostacji, bo gdyby było inaczej, z całą pewnością przeszukaliby dokładnie to miejsce. Sprawa była największego kalibru i wykorzystaliby do tego wyszkolonego psa, a jego węchowi broń by nie umknęła.

Pan Jan wspominał, że rodzina Bolesława Wanica w obawie przed uwięzieniem uciekła z własnego domu. Przez kilka pierwszych miesięcy matka i trzy jej córki ukrywały się u Karoliny Glazer w Woli Orzechowskiej. Później wyjechały stamtąd do kogoś ze swojej dalszej rodziny. Po wojnie już tu nie wróciły, dom wraz z lasem został sprzedany. Nowy właściciel dość szybko go rozebrał, wtedy też uporządkowano w lesie miejsce, gdzie znajdował się wspomniany schron.

Tuż przed swoim aresztowaniem Bolesław zdażył przyprowadzić do domu Kiearów cztery Żydówki, którym udało się uciec przed egzekucją z Brzozowa. Były to młode kobiety, w wieku od 20 do 30 lat. Jan zapamiętał imiona tylko trzech z nich. Były to: Halina, Stefa i Tola.

I tak zaczął się dla niego i rodziny Kiearów jeszcze trudniejszy i bardziej niebezpieczny okres w ich życiu. Trwał bardzo długo, blisko trzy lata.

Wspomniane Żydówki były ukrywane w różnych miejscach, w zabudowaniach i poza nimi. W zimie, z uwagi na niskie temperatury, musiały stale przebywać w ich obejściu. Jan z ojcem urządzili im schowek w szopie, za specjalnie wykonaną z desek drugą ścianą. W zależności od sytuacji przebywały też w innej skrytce, która znajdowała się na strychu ich domu.

W okresie letnim i wczesnojesiennym kobiety były ukrywane poza posesją, w szalasie, który zbudowali z ojcem w „wanicowym” lesie. Na matce i jego starszych siostrach ciążyło organizowanie i przygotowywanie im jedzenia. Prowiant oraz inne niezbędne do przetrwania materiały (np. odzież), Kiearowie dostarczali im skrycie, najczęściej nocą.

Janowi i jego rodzinie nie wszystko udawało się ukryć. Pomimo daleko posuniętej ostrożności niektórzy z sąsiadów domyślali się, lub wręcz wiedzieli, o ich tajemnicy. Nie rozpowszechniali jednak żadnych informacji na ten temat. W dużej mierze było to zasługą księdza Stefana Misiąga, proboszcza parafii Malinówka, który wywierał duży wpływ na świadomość swoich wiernych. Rodzina Kiearów była z nim w ciągłym kontakcie. Dobrą stroną Malinówki było to, że zamieszkiwała ją czysto polska ludność, wśród której rodzina Jana była szanowaną i nie miała osobistych wrogów. Zdarzało się, że znajomi ostrzegali przed niemieckimi konfidentami, którzy pojawiali się w ich bliższym otoczeniu. Instynkt podpowiadał wszystkim, że Niemcy są zdolni wymordować całą wioskę w ramach odpowiedzialności zbiorowej. Mając takich sprzymierzeńców, Jan i cała rodzina Kiearów oraz ukrywane przez nich Żydówki, szczęśliwie dotrwali do końca niemieckiej okupacji.

Było to jego i ich wszystkich zwycięstwo nad Niemcami opętanymi złem.

W jakiejś mierze potwierdzało ono również wcześniejszą tezę autora dotyczącą zachowania się w śledztwie aresztowanych konspiratorów, a zwłaszcza Bolesława Wanica. Pomimo gestapowskich tortur i obawy o los najbliższej rodziny z całą pewnością nie wyjawiał im również tej tajemnicy.

Po przejściu frontu, ukrywające się kobiety nadal pozostawały w kryjówce przez około 6 tygodni. W tym czasie w domu Kielarów rozkwaterowali się sowieccy żołnierze i obawiały się, że mogą je zgwałcić. Ich opiekunom kamień spadł z serca dopiero wtedy, kiedy i ten drugi okupant odszedł z Malinówki. Kilka miesięcy później wyjechały one za granicę, do Stanów Zjednoczonych, Szwecji i Izraela. Ślad po nich prawie całkiem zginął. Tylko jedna z nich nawiązała potem kontakt listowny ze swoimi dobroczyńcami. Nigdy ich jednak nie odwiedziła i kontakt urwał się. Szczególnie rodzice Jana byli ciekawi, jak potoczyły się ich dalsze losy i jak odnalazły się w nowej rzeczywistości. Jednak do końca życia nie było im dane uzyskać pełniejszych informacji.



Rodzice, Franciszek i Maria z domu Szymańska (zdjęcie z okresu powojennego, ze zbioru J. Kielara)

Po wojnie Polska została na dziesiątki lat zniewolona, a nowe uwarunkowania, z jakimi przyszło im wszystkim mierzyć się, nie sprzyjały wszczynaniu poszukiwań.

Dopiero kilka lat temu wnuczka jednej z ocalonych, Stefy ze Stanów Zjednoczonych, odnalazła Jana Kielara. W 2017 r. przybyła ona do Polski i odwiedziła go w Malinówce.

Jan wstąpił w szeregi Armii Krajowej w 1943 r. i przyjął pseudonim „Karolina”.

Zaprzyśiężył go Stefan Miksiewicz ps. „Słuchawka”. Pochodził on z Brzozowa, w przeszłości należał do harcerstwa i Związku Strzeleckiego. Trenował lekkoatletykę. Brał udział w kampanii wrześniowej, z konspiracją SZP-ZWZ-AK był związany od 1939 r. W Obwodzie Brzozów Inspektoratu Podkarpacie Armii Krajowej służył w pionie wywiadu i kontrwywiadu. Wyróżniał go przenikliwy intelekt, silna psychika i znakomita sprawność fizyczna. Pracy konspiracyjnej był oddany całym sobą. Pociągał do niej innych swoimi ponadprzeciętnymi kompetencjami oraz wybitnymi predyspozycjami osobowościowymi, które dodatkowo były podbudowane gorącym patriotyzmem i niesłabnącą motywacją walki o niepodległą Polskę, aż do skutku.

Miksiewicz kwaterował w domu Kielarów od 1943 r., z przerwami, do 1946 r. Kwaterę zarekomendował mu ksiądz Stefan Misiąg, który był jednym z najbardziej aktywnych uczestników działalności konspiracyjnej w brzozowskim i używał pseudonimu „Czapla”.

Plebania księdza Misiąga była ważnym punktem tej działalności, on sam często odwiedzał Miksiewicza u Kielarów.

„Słuchawka”, czerpiąc ze swojego bogatego doświadczenia wojskowego oraz najwyższych lotów kwalifikacji konspiracyjnych, uczył młodego adepta żołnierskiego i partyzanckiego rzemiosła.



Stefan Miksiewicz (1914-1988) „Słuchawka” (zbiory prywatne Paweł Fornal)

To on dostrzegł w Janie odpowiedni materiał na łącznika. Formując go do tej funkcji, od samego początku dawał mu do zrozumienia, jak odpowiedzialną jest ta służba. Uświadamiał, że fundamentalną jest w niej pełna dyspozycyjność. Wpajał mu, że w działalności konspiracyjnej tylko zachowanie zupełnej dyskrecji jest skuteczną ochroną przed zamysłami okupanta, który wyczekuje na jakiekolwiek potknięcie, aby doprowadzić ich organizację do unicestwienia. Powtarzał, że gdyby doszło do wpadki to ich zachowanie ma wielokrotnie większe znaczenie, bo wtedy ważą się losy i innych. Janowi jako memento utkwiły jego słowa: „gdybyś wpadł, do niczego się nie przyznawaj, w innym przypadku każde wypowiedziane słowo będzie wykorzystane przeciwko Tobie”



Jan w towarzystwie starszych sióstr (na zdjęciu z okresu z okupacji niemieckiej, ze zbioru J. Kielara)

W tym trudnym czasie dom jego rodziców stał się na dodatek partyzanckim szpitalikiem. Przez około 6 miesięcy dochodziło w nim do zdrowia dwóch partyzantów. Byli to oficerowie AK z ranami postrzałowymi kończyn górnych, przytransportowani tu z Golcowej. Ranni partyzanci mieli stale przy sobie broń krótką. „Karolina” zapamiętał, że jeden z tej dwójki nosił nazwisko Anioł. Rodzina Kielarów, oprócz opieki medycznej i dachu nad głową, zapewniała im wikt i opierunek.

Jakby tego było mało, w zabudowaniach gospodarskich Kielarów został ulokowany konspiracyjny magazyn broni, jeden z większych na ziemi brzozowskiej. Jan brał udział w urządzaniu go oraz przyjęciu broni na jego stan. Dostarczono ją z przysiółka Nowiny koło Golcowej, gdzie w maju 1944 r. miał miejsce aliancki zrzut lotniczy dla Armii Krajowej. Jan nie uczestniczył w nim bezpośrednio, ale z tej akcji znał wiele szczegółów. Wywołał on ogromny entuzjizm u wszystkich. Wspominał, że dostarczone wozem konnym skrzynie mieściły pistolety maszynowe „Sten”, a drewniane paczki zawierały amunicję w kartonowych pudełkach lub po 40 granatów. Był też angielski rkm Bren i inny sprzęt wojskowy, przede wszystkim o przeznaczeniu sapersko-minerskim.

„Karolina” strzegł tego uzbrojenia i opiekował się nim do czasu, kiedy decyzją Miksiewicza broń ta została przemelinowana. Potem już tam nie wróciła.

Front przewalił się przez Malinówkę pod koniec drugiego tygodnia sierpnia 1944 r. Niedługo potem ustabilizował się prawie na miesiąc około 10 km dalej na zachód, pod Krosnem i w podobnej odległości na południe, pod Sanokiem. Dowódca I Frontu Ukraińskiego, marszałek Iwan Koniew kilka tygodni spędził na kwaterze w pobliskiej Woli Orzechowskiej, w domu Adolfa Chrobaka.

Za oddziałami liniowymi Armii Czerwonej w teren weszły formacje NKWD i kontrwywiadu wojskowego I Frontu Ukraińskiego „Smiersz”, mającego najbardziej złowrogą sławę spośród wszystkich pozostałych sowieckich frontów. Na „czyszczenie” strefy przyfrontowej ze struktur konspiracyjnych polskiego państwa podziemnego miały one dużo czasu, ponieważ ich wojska w czasie Operacji dukielsko – proszowskiej ugrzęzły na linii Karpat, aż do drugiej połowy stycznia 1945 r.

Nastąpiły aresztowania akowców na skalę mało spotykaną w innych obwodach Inspektoratu Podkarpacie. W łapska oprawców „Smiersza” wpadli zwłaszcza żołnierze zdekonspirowani w czasie Akcji „Burza”. Najbardziej szokującym było aresztowanie prawie całego plutonu z pobliskiej wsi Blizne koło Brzozowa, ponad 40 akowców. W czasie przesłuchań zatrzymani byli bici, potem zesłano ich do sowieckich łagrów na wschodzie. Tym, którym pozwolono po wojnie wrócić, na zawsze naruszono zdrowie fizyczne i psychiczne. Byli oni żywym przekazem podprogowym, którym Sowietci dawali Polakom do zrozumienia, co ich spotka, gdy im się sprzeciwią.

Aresztowano również kpt. Ignacego Wanica „Jaksę” pełniącego wtedy funkcję Inspektora Inspektoratu Podkarpacie AK na terenie zajęтым przez sowietów (złamał się podczas brutalnego śledztwa oprawców „Smiersza”, odbity z aresztu UB w Brzozowie w grudniu 1944 r. przez żołnierzy Lwowskiego Okręgu AK kpt. Dragana Sotirovica „Draży”, w akcji zorganizowanej i koordynowanej przez Stefana Miksiewicza, po krótkim podleczeniu

wyjechał do Gdańska. Tam spotkał się z rodziną, która po prawie 6 latach rozłąki wróciła z sowieckiego zesłania do Kazachstanu. Ciężko chory i biologicznie wyniszczony przeżyciami wojennymi zmarł miesiąc później, w grudniu 1945 r.).

Janowi udało się szczęśliwie uniknąć aresztowania pewnie dlatego, że w ich domu kwatrowali sowieccy oficerowie frontowi, którzy całkiem przyzwoicie odnosili się do ich rodziny.

Na ziemi brzozowskiej pod nadzorem NKWD i „Smiersza” zaczęły powstawać załączki administracji, milicja i „bezpieka”. Lwów przestał być województwem i zastąpił go Rzeszów. Podobnie jak inne większe polskie miasta zaczął on szybko ogniskować działalność rodzimych zdrajców, kolaborantów i wszelkiej maści oportunistów, których Generalissimus Stalin zasilił przysłanymi ze wschodu współbratymcami Karola Marksa. Po objęciu kluczowych funkcji w tworzonych wojewódzkich i centralnych strukturach władzy, a także bezpieczeństwu, wojsku i propagandzie, rozpoczęli oni instalowanie w kraju, umęczonym wojną i okupacją, najbardziej zbrodniczego systemu w dziejach świata. Podbudowany ideologią walki klas, w zarysie opierający się na antydekalogu, służył sowieckiej Rosji za platformę w realizacji jej imperialnych celów.

Pozostali jeszcze na wolności akowcy w odruchu samoobrony przystąpili do tworzenia struktur drugiej konspiracji, tym razem pod okupacją sowiecką. W drugiej połowie 1945 r. kontynuatorem ich działalności było Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość”. Szefem jego wywiadu na powiat brzozowski został Stefan Miksiewicz. Z kwatery u Kielarów udało mu się w krótkim czasie odtworzyć stare kontakty i zbudować w sieci całkiem nowe, czyniąc bardzo efektywną działalność wywiadowczą i kontrwywiadowczą tej organizacji. Jan został jego podstawowym i najważniejszym łącznikiem.

Do kwatery „Słuchawki” regularnie przybywało 2-3 łączników z terenu. Zazwyczaj pojawiali się oni co drugi dzień i o różnych porach. Raporty, które tu napływały miały później bezpośrednie przełożenie na działalność brzozowskiego WiN, zapobiegały także szerzeniu się pospolitej przestępczości w terenie.

Najcenniejsze informacje pochodziły z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Rzeszowie (wg ustaleń autora, ich źródłem mógł być Władysław Sęp „Orzeł” ur. 24 maja 1923 r. w Bóbrce k. Krosna, żołnierz Armii Krajowej, uczestnik Akcji „Burza”, z sugestii przełożonych z konspiracji pracownik Wydziału V WUBP w Rzeszowie, po dezercji stamtąd żołnierz batalionu NSZ „Zuch”, zginął w Trześniowie 1 października 1946 r. i tam został pochowany w nieoznaczonym grobie). To, że ten autentyczny bohater walki o niepodległą Polskę, w wolnej już ojczyźnie nie ma swojego grobu, z epitafium oddającego prawdę o nim, napawa wstydem oraz rodzi apel do Instytutu Pamięci Narodowej (oddział w Rzeszowie), władz powiatowych i wojewódzkich o odnalezienie i stosowne uporządkowanie miejsca jego spoczynku. Apel dotyczy także władz samorządowych właściwych miejscowości urodzenia Władysława Sępa, a także administratora cmentarza, na którym on bezimiennie spoczywa. Za naszą wolność i niepodległość Władysław Sęp złożył ofiarę największą – oddał własne życie. Teraz, gdy jesteśmy wolni, nie można, o nim zapomnieć!). Równie cenne informacje pochodziły z Powiatowych UBP w Brzozowie i Krośnie, w których „Słuchawka” również miał swoje wtyki.

Przekazy z nich pozwalały organizacji m. in. wyprzedzać planowane w nią uderzenia. W tego rodzaju sprawach Jan był uruchamiany w trybie alarmowym. Bywały chwile, że już tylko od niego zależało, czy uda się wyprzedzić „bezpiekę” w działaniu. Do szybkiego przemieszczania się wykorzystywał wyłącznie rower. Podążał na nim z przekazem ustnym lub tajną korespondencją do miejscowości odległych nieraz o wiele kilometrów. Najczęściej jeździł do Brzozowa, Starej Wsi, Golcowej, Orzechówki, Domaradza, Haczowa, Jabłonicy Polskiej, Jasienicy Rosielnej i Woli Jasienickiej. Najdalej położoną miejscowością, do której „Karolina” docierał na swoim rowerze, była Korczyna.

Łącznik „Słuchawki” wyruszał w drogę bez względu na pogodę, o różnych porach dnia i nocy. Poruszał się zazwyczaj „swoimi” drogami, najczęściej były to polne trakty i bezdroża. Starał się, na ile tylko mógł, unikać tych głównych, które były o wiele bardziej kontrolowanymi przez milicję, UB, KBW, sowietów czy Wojsko Polskie, całkowicie im podporządkowane. W wykonywaniu tych zadań Janowi sprzyjało nie tylko szczęście, ale także doskonała kondycja fizyczna i psychiczna, żelazna logika, wrodzona pamięć wzrokowa oraz pierwszorzędna orientacja w terenie.

Powtarzały się sytuacje, że po powrocie padał wyczerpany z wysiłku, ale zaraz musiał odbyć kolejny kurs z rozkazem od „Słuchawki”.

Honor i ambicja nie pozwalały mu, aby miał zawieść jako żołnierz-łącznik.

Na pytanie, co się stało z tym rowerem (autor był zainteresowany pozyskaniem go do muzeum) Jan ze smutkiem w głosie odpowiedział, że zużył mu się w tej działalności. Dodał przy tym, że kupił sobie potem nowy, podobno był nawet lepszy, ale tego już nie wykorzystywał jako łącznik.

Wspominał, że priorytet miał zawsze kontakt z kapitanem „Brzeszczem”, Komendantem WiN w Okręgu Brzozowskim. Kwaterował on w sąsiedniej Jabłonicy Polskiej. Bywał u niego wielokrotnie. „Brzeszcz” był bardzo dobrze zakonspirowany, bezpośredni dostęp do niego miało tylko kilka „najbardziej zaufanych osób”. Wszystkie raporty od Miksiewicza przekazywał osobiście do rąk własnych kapitana „Brzeszcza”. Zapamiętał go jako energicznego mężczyznę w średnim wieku, średniego wzrostu i średniej budowy ciała. „Brzeszcz” był lekko łysiejący i miał przyprószone siwizną włosy. Zawsze był ubrany po cywilnemu. Jego wygląd i sposób bycia nie rzucały się nikomu w oczy.

Z tego okresu Janowi szczególnie mocno utkwilo w pamięci sfalszowane Referendum Ludowe z czerwca 1946 roku. Zapamiętał je pod nazwą „wybory 3 x tak”.

Tuż przed jego terminem do Kiełarów dotarły dwie osoby ze sprzętem drukarskim oraz co najmniej ryzą arkuszy papieru o sporym formacie. Potem przez całą noc w ich domu drukowano plakaty z odezwą do polskiej ludności.

WiN, obnażając perfidię działań okupanta skrywającego się pod imitacją polskiego rządu, wzywał do dania odpowiedzi „nie” na pierwsze dwa pytania referendalne. Rankiem drukujący wraz Janem rozwieźli świeżutkie plakaty w teren. Przełożony „Karoliny” był mocno zaangażowany w przebieg referendum. Miał też swoje ustalenia, co do jego wyników i były one prawie dokładnie odwrotne niż te, które oficjalnie opublikowali jego organizatorzy.

Z każdym dniem wzrastało ryzyko działalności konspiracyjnej WiN-u. Przez blisko 3 tygodnie w ich domu ukrywał się ksiądz Misiąg, którego poszukiwało UB. Później, wspólnie ze „Słuchawką”, ukrywali się oni przez około 4 miesiące w „wanicowym” lesie, w specjalnie zbudowanym szałasie. Kontakt z nimi był tylko przez Jana. On też donosił im jedzenie z domu. Z nastaniem jesieni ksiądz Misiąg zaczął ukrywać się na Kozieńcu, przysiółku Malinówki, u rodziny Wojnara. Trwało to około 6 lat. Wyjechał stamtąd za zgodą swojego biskupa, by pełnić posługę kapłańską winnym miejscu Polski.

Kielarowie w międzyczasie przeżyli dwie duże obławy z udziałem wojska, milicji i UB. W czasie tej drugiej „Karolina” osobiście uratował Miksiewicza z poważnych tarapatów. Zdążył przybiec do domu zanim oni zamknęli pierścień okrążenia wokół niego. Zimna krew i doskonały refleks Miksiewicza pomogły w tym, że przed salwowaniem się ucieczką, zdążyli jeszcze zabrać kompromitujące materiały. W ich domu przeprowadzono drobiazgową rewizję i tylko jakimś cudem nic nie znaleziono. Szukający tak bardzo chcieli coś znaleźć, że oprócz przetrząsania wszelkich zakamarków nakłuwali bagnetami i mackami saperskimi gliniastą polepę w pomieszczeniach gospodarczych oraz teren wokół domu. Spotkały ich za to niewybredne komentarze ze strony sióstr Jana.

Oprócz wspomnianych obław ubowcy i milicjanci jeszcze kilkakrotnie składali wizyty Kielarom. Przyjeżdżali niespodziewanie pod ich dom samochodem typu „dodge”, zawsze było ich kilku i za każdym razem spotkania z nimi były bardzo stresujące dla domowników. Nigdy im nie udało się zastać Jana w domu.

„Słuchawka” na bieżąco współpracował z mjr Antonim Żubrydem ps. „Zuch”, dowódcą batalionu Narodowych Sił Zbrojnych. Chociaż obszary ich działalności konspiracyjnej pokrywały się na terenie powiatu brzozowskiego, to przyjęte metody walki przez każdą z tych organizacji znacząco różniły się. Zrzeszenie WiN stało na gruncie osiągania celów politycznych metodami raczej cywilnymi, natomiast batalion NSZ „Zucha” prowadził bezkompromisową walkę zbrojną. Jak mawiał jego dowódca, była to walka z „czerwoną plagą”, na śmierć i życie.



Mjr Antoni Żubryd „Zuch” (na zdjęciu wykonanym w 1939 r. po zwolnieniu z niewoli niemieckiej, ze zbioru Janusza Niemca)

Nie wyszła ona za mąż i żyła samotnie. W Malinówce była lubiana i powszechnie znana z uczynności, nazywano ją „Karolcią”. Cechowała się religijnością i pobożnością. Opowiadała krewniakowi, że w czasie pobytu małżeństwa Żubrydów wspólnie z nimi modliła się. Ich obojga uważała za dobrych ludzi. Pojawiali się u niej i znikali z kwatery wyłącznie nocą, ale częściej „Żubryk” był tu samotnie.

[illegible]

17

Służenie kwaterą ściganym osobom „Karolcia” traktowała nie tylko jako nakaz serca. Naświatliła to pochodząca z Malinówki Janina Józefczyk w liście do Janusza Niemca (w posiadaniu autora) pisząc, że dowiedziała się od swojej matki, z którą „Karolcia” przyjaźniła się, iż przed przybyciem Żubryda i jego żony miała proroczy sen: „Otóż wiszący nad jej łóżkiem Chrystus Ukrzyżowany – po uwolnieniu się z gwoździ – padł na jej ramiona i powiedział jej, że „musi przyjąć w dom ludzi, którzy do niej przyjdą. Będą to dla niej trudne czasy, ale On będzie z nią i nie ma się niczego bać”.

Ojciec Józefa Masłyka był stolarzem i to on wstawił drugie drzwi wejściowe. Dom przez to stał się dostępny z obu stron. Przedzielił również ścianą komorę, która znajdował się przy stajni. Powstała w ten sposób mała klitka, do której wchodziło się przez szafę maskującą wejście. Kącik nie miał okna, był dość ciasny i mieściło się tam tylko jedno łóżko. Wszystkie przeróbki dostosowujące dom na kwaterę mjr Żubryda zostały objęte całkowitą tajemnicą.

Schówek służył „Żubrykowi” głównie do snu, ale raz wykorzystał go w chwili bezpośredniego zagrożenia. Prawdopodobnie na skutek czyjegoś donosu dom został niespodziewanie otoczony przez wojsko i UB. Gospodyni wykonywała wtedy prace polowe, a mjr Żubryd golił się. W oka mgnieniu posprzątał po sobie i czmychnął do swojej kryjówki. Krzysikówna jak tylko zauważyła, co się święci, niezwłocznie pojawiła się w obejściu, witając nieproszonych gości słowami: „Czy panowie do mnie, do dziewczki, ruskiej podśmiewki?” Ubecy zbici z tropu wypytali ją tylko, czy nikt tu obcy nie przebywa i bez przeprowadzania szczegółowej rewizji, oddalili się. To zajście dowodziło innej cechy Krzysikówny, w krytycznych momentach potrafiła zachować zimną krew.

Od pół prowadziła do jej domu ścieżka, którą wykorzystywali najbardziej zaufani partyzanci kontaktujący się z dowódcą. Było ich tylko kilku. Najbliżsi sąsiedzi wiedzieli o kwaterze, „Żubryk” kilkakrotnie spotykał się z nimi, również po to, aby nikt nie miał wątpliwości, co się stanie w przypadku wydania go. W Malinówce „Zuch” miał jeszcze jedną kwaterę, u Wiktorii Kot. O tamtej wiedziało dużo więcej osób.

Pan Józef wspominał, że o mjr Antonim Żubrydzie ludzie wypowiadali się różnie. W pamięci szczególnie utkwiła mu jedna z pracownic zakładu pracy w Sanoku, w którym i on był zatrudniony. Wyjątkowo nienawistnie wypowiadała się na temat „Zucha”. Wielokrotnie wygłaszała publiczne oskarżenia pod adresem „bandy Żubryda”, która w jednej spod sanockich wiosek miała dopuścić się napadu na dom jej rodziców. Zbiry oprócz rabunku dobytku, ciężko pobili jej matkę, która go broniła. Ten, który tłukł ją najwięcej powiedział do niej, że ma na zawsze zapamiętać sobie, że oberwała od samego Żubryda. Ponieważ Pan Józef usiłował na początku przeczyć temu i podawał w wątpliwość prawdziwość jej słów, osoba ta wielokrotnie dopuściła się ataku słownego na niego. Potem już nawet nie trzeba było do tego pretekstu, aby on nastąpił. W końcu pan Józef nie wytrzymał i wręczył swojej adwersarce fotografię Antoniego Żubryda, którą otrzymał od cioci Karolci. Poprosił ją przy tym, aby ją okazała swojej matce po to, aby ta potwierdziła, że osoba ze zdjęcia to ten sam osobnik, który dowodził bandą, uczestniczył w napadzie na jej dom i pobił ją. Nazajutrz, wraz ze zwróconym zdjęciem, pan Józef przyjął oświadczenie jej matki, że wśród napastników z całą pewnością nie było osoby ze zdjęcia, a ten, który ją pobił, wyglądał zupełnie inaczej.

Zdarzenie przywołane przez pana Józefa może być pokłosiem działań operacyjnych UB naświetlonych przez Henryka Piecucha w książce „Brudne gry. Ostatnie akcje służb specjalnych”, Seria: Tajna Historia Polski, Agencja Wydawnicza CB, Warszawa, 1999. Jej fragment przybliżający kulisy zakrojonych na szeroką skalę działań operacyjnych WUBP w Rzeszowie, których celem była dyskredytacja i fizyczna eliminacja mjr Antoniego Żubryda i jego oddziału poniżej:

„Na początku lat osiemdziesiątych ówczesny szef służb specjalnych MSW gen. Pożoga, opowiadając o swoich powojennych dokonaniach wiele mówił o Antonim Żubrydzie, którego zamordowano w okolicznościach podobnych do likwidacji „Huzara”, to znaczy dzięki rozpracowaniu operacyjnemu z udziałem agentek i agentów. (...)

A. Żubryd, przedwojenny podoficer zawodowy 40 pp „Dzieci Lwowskich”, walczący w stopniu plutonowego w obronie Warszawy w 1939 r. po ucieczce z niewoli wrócił nad San i brał czynny udział w ruchu oporu (AK, NSZ), wsławiając się wieloma brawurowymi akcjami, m. in. ucieczką z więzienia Montelupich w Krakowie. Po zakończeniu wojny wstąpił do UB (najprawdopodobniej na polecenie jednej z organizacji podziemnych). W czasie rozpracowywania go przez pracowników Biura ds. Funkcjonariuszy (m. in. przez W. Pożogę) Żubryd ratował się ucieczką do lasu. Szybko zorganizował duży oddział (ok. 250 osób) mocno dokuczający władzy. Bezpośrednie ataki UB i WP na żubrydowców nie dały efektów. W WUBP podjęto decyzję o zlikwidowaniu przeciwnika metodami operacyjnymi. W tym celu UB (wspólnie z KBW i Informacją WP), w oparciu o agenturę zorganizowało tzw. oddział pozorowany, który został wprowadzony do żubrydowców z zadaniem likwidacji Żubryda i osób mu towarzyszących.

Ruszyłem śladem agentów i funkcjonariuszy UB z oddziału pozorowanego. Oto zapis ze spotkania:

„Rzeszów. Połowa lat osiemdziesiątych. Gabinet pułkownika Zbigniewa Rajchela, przyjaciela Pożogi, naczelnika miejscowego kontrwywiadu. Grono dawnych bezpieczniaków, uczestników walk ze żubrydowcami, ale nie tylko. Są m. in. starsi oficerowie: Mieczysław Pietrucha, Stanisław Gawron, Łukasz Kuźmicz, Bronisław Kruczek, Józef Remion, Edward Wilkus, Ludwik Wilk. Płyną opowieści o tamtych latach. Akcja za akcją. Strzelanie do siebie z najbliższej odległości. Pociąganie za spust po przystawieniu lufy pistoletu prawie do czoła przeciwnika. (...) Rozkręcają się powoli. Więcej mówią o przeciwnikach, mniej o sobie. Krótkie urywane zdania. Byli żołnierzami bezpieki. Zabijali, aby ich nie zabito. Czynili dobrze i są o tym przekonani. Upewniają ich w tym awanse, medale, inne zaszczyty. Najwyżej z nich zaszedł Władysław Pożoga.(...) Pytam, czy zabijali. Rozmowa schodzi na temat Żubryda. Mówią. – Bandyta. – Zdrajca. – Morderca. – Buntował ludzi. Namawiał do dezercji. Wyciągał do lasu. – Trzeba go było zabić. I zabili. Jak było? Mówią: - Stworzono małą, dobrze uzbrojoną grupę. Zadbano, aby było o niej głośno w okolicy. Wiedzano, że Żubryd nie ścierpi sławniejszych od siebie. – Grupa podejmowała śmiałe akcje. – Co to znaczy – śmiałe akcje? Co robili? Nic szczególnego. To, co inni. Tylko lepiej, chętniej, szybciej. Pytam, czy zabijali. Patrzą zdziwieni. Niby też pułkownik. Niby z Warszawy. Niby zna historię, a zadaje takie głupie pytania. Mówią: - Oczywiście, że zabijali. Czy lubią zabijać? Och, chyba nie. Tego chyba nikt nie lubi robić. Nie. Nie. Nie lubią zabijać. – Ale

musieli zabijać. Inaczej nie można było zdobyć niezbędnego rozgłosu, potrzebnego do zwrócenia uwagi Żubryda. – Tak potrzebowali rozgłosu. – Kogo zabijali? Różnie. Raz wrogów, innym razem przyjaciół. Milicjantów, którzy nie wiedzieli przecież, z jakim oddziałem mają do czynienia i atakowali grupę bezpieki nie na żarty, strzelając i obrzucając ich granatami, też zabijali. Ale milicjantów zabijali bez przyjemności. Raczej z bólem serca, choć z przekonaniem, że tak właśnie trzeba działać. Inaczej się nie dało. Takie były zasady gry. Decydując się na stworzenie bandy, na wejście do niej, decydowali się działać tak, jak tamci. Zresztą zabicie milicjanta lub oficera wojska przynosiło więcej splendoru niż spalenie paru wiosek i wyrżnięcie tuzina kmotków. Och oczywiście. Spalili kilka wiosek. – No, małych. – Kilkuchałupowych zaledwie. – Drewnianych. – One się bardzo ładnie paliły. – Nie, nie czują żalu”.

Przytoczony fragment zastanawia i rodzi pytania. Ile podobnych akcji przeprowadzili oni na Podkarpaciu? Ile niewinnych osób zostało poszkodowanych przez zwyrodnialców z UB w ten sposób? Na ile historycy opisujący tamte wydarzenia potrafili oddzielić ich „dokonania” od działalności bohaterów walczących o byt niepodległego państwa polskiego?

Jan Kielar dostarczał wiadomości do kwatery „Zucha” wyłącznie w nocy. Pukał do drzwi „Krzysiczki” i w umówiony sposób przekazywał do rąk własnych gospodyni kopertę od Miksiewicza. Nigdy nie spotkał się tam bezpośrednio z „Zuchem”. Jego samego widział tylko kilka razy, ale nigdy nie były to ich bezpośrednie spotkania. Ten sposób komunikacji dobitnie świadczył o pełnym zaufaniu mjr Żubryda do Krzysikowej oraz stosowaniu w kontaktach międzyorganizacyjnych zasad wypracowanych przez pokolenia polskich konspiratorów.



Dom Karoliny Krzysik w Malinówce, wybudowany w 1928 r. Kilka dekad później pożar strawił blisko połowę budynku oraz jego słomianego dachu. To, że akurat spłonął segment, w którym znajdowała się kwatera „Zucha” mogło nie być dziełem przypadku. Właścicielka nie miała środków na jego odbudowę, mieszkała w ocalałej części, która została pokryta eternitem (źródło: archiwum muzeum).

Pogarszające się z każdym dniem warunki działalności konspiracyjnej zmusiły w końcu Miksiewicza do opuszczenia terenu. Tuż przed swoim wyjazdem przekazał Janowi, w rozmowie „w cztery oczy”, że ma informacje z Urzędu Bezpieczeństwa w Rzeszowie o wprowadzeniu do oddziału „Żubryka” agenta i że tę wiadomość przekazuje mu w swoim liście.

List ten, podobnie jak wszystkie poprzednie, Jan niezwłocznie dostarczył Krzysikowej.

Czy Żubryd zlekceważył to ostrzeżenie, czy może zawiódł go instynkt tego już nie dowiemy się nigdy.

Wieczorem, 24 października 1946 r. został on wraz z żoną Janiną zastrzelony w „wanicowym” lesie, w miejscu odległym od domu Kielarów o około kilometr przez agenta, przed którym go ostrzegano.

Jan, pomimo wcześniejszej informacji o niebezpieczeństwie grożącym mjr Żubrydowi, był niewymownie zaskoczony tą zbrodnią. Również zszokowała ona mieszkańców Malinówki. Szybko ustalono powiązane z nią ostateczne fakty. One jednoznacznie przemawiały za tym, że jej sprawcą był jego adiutant. W oddziale „Zucha” przypisywano wtedy taką funkcję Jerzemu Vaulinowi ps. „Mar”, „Warszawiak”, „Bronek” (w kontaktach z UB posługiwał się pseudonimami „Mewa”, „Moskit”).

Osobą, którą zabójstwo Żubrydów szczególnie wstrząsnęło była Karolina Krzysik. Ona nie tylko udostępniała im kwaterę, ale była z nimi serdecznie zżyta. Nie kryła przed Janem swojej autentycznej rozpaczy po ich śmierci.

Żołnierze „Zucha” po stracie swojego dowódcy zabrali od niej wszystko, co on tam pozostawił po sobie.

„Słuchawki” wtedy już nie było na tym terenie, zagrożony aresztowaniem zdążył wyjechać na Śląsk.

Wyjazd „Słuchawki” oraz śmierć mjr Żubryda w zasadzie zakończyły działalność konspiracyjną, w której uczestniczył Jan Kielar.

Wiosną 2019 r. autor dotarł wraz z ekipą TVP Historia na symboliczne miejsce zbrodni małżeństwa Żubrydów, koordynując odcinek programu „Było, nie miało” pt. „W obronie Podkarpacia”.

Wtedy też pojawił się pomysł powrotu na to miejsce, aby spróbować odnaleźć łuski naboju pistoletowych wystrzelonych przez zabójcę. Wg wstępnej oceny, ich odnalezienie mogłoby dać impuls do ewentualnej rewizji nadzwyczajnej wyroku, który zapadł w tej sprawie. Wydał go Sąd Okręgowy w Krośnie, po trwającym około trzy lata procesie (1999-2001), jaki został wytoczony Jerzemu Vaulinowi z powodztwa Janusza Niemca, syna ofiar.

Obroncy Jerzego Vaulina (obronę organizował śp. Jacek Kuroń, od którego nazwiska wywodziła się nazwa zapomóg w epoce reform prof. Leszka Balcerowicza, tzw. „kuronówek” dla Polaków, których pozbawiono pracy i dochodów), pomimo niezbitych dowodów oraz przyznania się sprawcy do popełnienia dwukrotnego zabójstwa przekonali sąd o prawdziwości zeznań Jerzego Vaulina. Oskarżony ich zdaniem dopuścił się zabójstwa „działając w warunkach dużego i bezpośredniego zagrożenia wobec siebie, ze strony

Antoniego Żubryda, co do którego był w pełni przekonany, że ten zamierzał go zlikwidować, zaś on jedynie uprzedził zamiary Żubryda, natomiast Janina Żubryd zginęła zupełnie przypadkowo, od jednego z dwóch pierwszych oddanych do niego strzałów, w kierunku Żubryda, ponieważ nie miał najmniejszego zamiaru, pozbawić jej życia”.

O dziwo! Sąd Okręgowy w Krośnie, przychylił się do tej linii obrony orzekając, że nie były to zbrodnie, o których była mowa: „stosownie do przepisu art. 2a Ustawy z dnia 6 kwietnia 1984 r., Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi polskiemu – Instytucie Pamięci Narodowej (Dz. U. z dnia 14 kwietnia 1984 r. z późn. zm.), ale były to niewątpliwie „zbrodnie stalinowskie”, w tym wypadku „tolerowane przez władze państwa komunistycznego”.

O zgrozo! Zważywszy na powyższe, Sąd Okręgowy w Krośnie, zajął stanowisko, że „w żadnym wypadku nie można było ich uznać za zbrodnie ... o których mowa w art. 2, a stanowiące według prawa międzynarodowego zbrodnie wojenne, lub zbrodnie przeciw ludzkości, które stosownie do przepisu art. 2b pkt 1 powołanej ustawy nie ulegałyby przedawnieniu”.

W rezultacie takiej kwalifikacji Sąd Okręgowy w Krośnie, w oparciu o przywołane przepisy, umorzył postępowanie karne wobec J. Vaulina, a kosztami procesu obciążył Skarb Państwa.

W odczuciu nie tylko powoda był to wyrok kuriozalny, skandaliczny i bulwersujący!

W pewnym sensie potwierdził to sam Sąd Okręgowy w Krośnie, utajniając uzasadnienie wyroku (dopiero pod koniec 2019 r. został on udostępniony Powodowi, w czym autor miał swój skromny udział i otrzymał niezwłocznie jego kopię: sygn. IPN BU 03402/1 i sygn. IPN BU 03402/2).

Niecałe pół roku później od powzięcia wspomnianej decyzji udało się autorowi dopiąć niezbędne formalności prawne i zorganizować akcję poszukiwawczą. Udział w niej wzięli właściciele Prywatnego Muzeum Podkarpackich Pól Bitewnych w Krośnie, zespół Stowarzyszenia Historyczno-Eksploracyjnego „Galicja” Artura Hejnara, ekipa TVP Historia redaktora Adama Sikorskiego oraz osoby zaproszone przez jej koordynatora na czele z Januszem Niemcem oraz Przewodniczącym Rady Powiatu Brzozowskiego Henrykiem Kozikiem. Całość przedsięwzięcia została sfilmowana i opublikowana przez TVP Historia w cyklu „Było, nie mięło” pod wymownym tytułem „Bez przedawnienia, bez przebaczenia”.

W pierwszej fazie poszukiwania były prowadzone w okolicach symbolicznej mogiły małżeństwa Żubrydów. Ich przedmiotem były łuski po nabojach typu Browning 7,65 mm, ponieważ zabójca zeznał przed Sądem w Krośnie, że użył jako narzędzia mordu broni krótkiej, pistoletu FN kal. 7,65 mm. Jego zeznanie, we fragmencie dotyczącym typu broni, pokrywało się z meldunkiem Stanisława Supruniuka, szefa PUBP w Krośnie (agent sowiecki, on i jego podkomendni prawie na śmierć zakatowali kuzyna babci autora, bohatera Łęk Dukielskich, Józefa Kołacza), który w raporcie sporządzonym dwa dni po zabójstwie Żubrydów informował swoich przełożonych, że Jerzy Vaulin ps. „Warszawiak” zdał w PUBP w Krośnie broń zabraną Żubrydowi oraz swoją „siódemkę” FN (tak potocznie nazywano pistolet Browning FN kal. 7,65 mm).

Pomimo zaangażowania kilkunastu osób z wykrywaczami metalu i trwających około 3 godzin poszukiwania w tym miejscu nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Nastąpiło przesilenie i kryzys. Zachodziła obawa, że oprócz współczesnych łusek po salwach honorowych, którymi tu upamiętniano kolejne rocznice śmierci małżeństwa Żubrydów, żadne inne nie zostaną już znalezione.

Opatrzność jednak sprawiła, że w otoczeniu autora znalazł się Jan Giefert, Komendant Jednostki Strzeleckiej 2222 z Brzozowa. Zasugerował, że kontynuowanie na tym terenie poszukiwań może być bezcelowe, ponieważ zabójstwo Żubrydów nie nastąpiło tam, gdzie zostało ono upamiętnione. Nie potrafił jednak wskazać faktycznego miejsca, gdzie zostało ono popełnione. Podał natomiast, że źródłem takiej informacji był Jan Kielar z Malinówki. Dodał jeszcze, że jest on w sędziwym wieku i ma poważne problemy ze zdrowiem, stąd kontakt z nim może być już utrudniony.

Niecałe dwa kwadranse później piszący te słowa wraz z Komendantem oraz Januszem Niemcem pojawili się na posesji Jana Kielara w Malinówce. Gości powitał syn Stanisław, który dał jasno do zrozumienia, że mieszkający z nim ojciec już od dawna ma poważne problemy ze słuchem oraz jeszcze większe z poruszaniem się. Pomimo tego, po kilku minutach po raz pierwszy doszło wtedy do spotkania autora z Janem Kielarem. Nasz bohater był trochę zaskoczony wizytą, ale z pełną uwagą wysłuchał wszystkiego, co goście mieli mu do powiedzenia. Po krótkiej wymianie zdań i ku ogromnemu zaskoczeniu i satysfakcji przybyłych, zgodził się osobiście wskazać faktyczne miejsce zabójstwa Żubrydów.

Decyzji tej nie oprotestował syn, być może jeszcze bardziej zaskoczony nią niż jego goście.

Autorowi już na zawsze pozostanie w pamięci trapiąca go wtenczas obawa, czy Jan Kielar odnajdzie to miejsce. Jego wiek podlegał przecież swoim prawom, a natura też zdążyła zmienić las.

Po wyjściu z samochodu najpierw dokonał on orientacji w terenie, a potem, podpierając się laseczką, ruszył powoli przed siebie. Co chwilę omiatał przenikliwym wzrokiem mijane bliższe i dalsze otoczenie leśnej dróżki. W niektórych miejscach przystawał, pewnie po to, aby pamięcią wrócić do swoich młodzięcych czasów. Na jego twarzy malowało się pełne skupienie. Kilukrotnie, jakby odgadując zawieszone nad nim pytanie, krótko oznajmiał „idziemy dobrze”.

Po kilkuset krokach zatrzymał się na leśnym dukcie, w miejscu w którym ścieżka odchodziła do mogiły Żubrydów. Było to niemal przy tablicy kierunkowej „Szlak mjr Żubryda”. Tu także wypowiedział tylko dwa słowa, ale jakże znamienne: „To tutaj”.

Za chwilę byli przy nim wszyscy, ekipa filmowa, detektyści oraz inne osoby obserwujące poszukiwania. Z krótkiego wywiadu, jaki przeprowadził z nim redaktor Sikorski, można było dowiedzieć się, że zbrodnia została dokonana w miejscu, gdzie wszyscy teraz stoją. Zaprzeczył przy tym, aby miało z nią coś wspólnego miejsce oznakowane wyrytym na korze grabu napisem „Żubryd” i symboliczną mogiłą ufundowaną przez Henryka Kozika.

Zaraz potem Jan Kielar opuścił uczestników akcji i został odwieziony samochodem do swojego domu.

Na wskazanym terenie operatorzy elektronicznych detektorów bardzo szybko zgłosili odnalezienie trzech łusek. Pierwszą z nich znaleziono na leśnej drodze, przy wspomnianej tablicy kierunkowej i była to łuska rosyjskiego naboju kal. 7,62 mm systemu TT. W odległości kilku metrów od niej natrafiono na drodze na kolejną, też tego typu. Trzecią, również tego samego typu odkryto chwilę później na ścieżce prowadzącej do symbolicznej mogiły Żubrydów, w odległości około 6 - 7 kroków od miejsca, w którym ona rozwidlała się z leśną drogą.



Ostatnia, ze znalezionych łusek spoczywała na ścieżce pod cienką warstwą liści. Kwaśne środowisko, które wytworzyły, spowodowało częściowy ubytek jej szyjki. (fot. Wojciech Pasterkiewicz)

Pomimo kontynuowania poszukiwań, później nikt już nie znalazł żadnej innej łuski.

Typ łuski nie pasował do broni, którą zabójca wymienił w swoich zeznaniach, natomiast zgadzała się ich ilość. Jednocześnie zastanawiało, dlaczego jedna z nich pozostawała w stosunkowo tak dużej odległości względem dwóch pozostałych? To również pozostawało w sprzeczności z tym, co zeznał zabójca.

Jednak największym zaskoczeniem na tym etapie działań pozostawał typ znalezionych łusek, ponieważ pochodziły one z innej broni niż tej, która była objęta poszukiwaniami.

Jednak, już od samego początku zakiełkowała myśl, że zabójca mógł konfabulować, podając inny typ pistoletu niż ten, z którego dokonał mordu. Nie było to żadne przełomowe odkrycie, ponieważ Jerzy Vaulin czynił tak zawsze, o ile miał w tym jakiś interes własny i mógł to zrobić. A miał ku temu szczególne predyspozycje i kwalifikacje. Był wieloletnim agentem UB oraz nagradzanym reżyserem propagandowej Wytwórni Filmowej „Czołówka”. Proces sądowy w Krośnie był tego dobitnym przykładem. Jak wspominał Powód, w czasie procesu Vaulin atakował świadków i kwestionował ich zeznania, atakował również panią prokurator i sędziego. Momentami proces stawał się jakby spektaklem, którego on był reżyserem. To, że wykorzystywał w jego trakcie swoje umiejętności nie podlega żadnej dyskusji, ale wydaje się, że nawet one nie byłyby wystarczającymi, gdyby nie odpowiednie wsparcie i przyzwolenie mu na takie zachowanie się. Ta jego zbytnia pewność siebie musiała mieć gdzieś swoje umocowanie. Gdzie? Być może odpowiedź na to pytanie zawierał przywołany fragment

książki Henryka Piecucha. Wymienieni w nim funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa mogli poczuć zagrożenie. Pomimo rozwiązania „bezpieki” pozostali oni w niej nie tylko mentalnie, ale dalej utrzymywali ze sobą kontakty. Ciągłe mieli wpływy i dysponowali narzędziami, którymi nadal potrafili skutecznie uzyskiwać swoje cele. W ocenie autora proces Jerzego Vaulina przed Sądem Okręgowym w Krośnie wydawał się być kompilacją „utworu”, jakim było zachowanie się zabójcy i jego zeznania przed sądem, z „utworem” autorstwa osób związanych z „bezpieką” i ich zeznaniami złożonymi przed tym sądem.

Jerzy Vaulin podając, że używał Browninga FN kal. 7,65 mm, poświadczył przed Sądem nieprawdę. Zakłamanie typu broni miało z pewnością odwrócić ewentualne, lub mogące pojawić się w przyszłości, proste skojarzenie. Pozwalało ono na połączenie rosyjskiego pistoletu samopowtarzalnego TT (Tulski Tokariewa) kal. 7,62 mm (potocznie nazywanego „tetetką”) z sowietami i Urzędem Bezpieczeństwa, ponieważ ten typ broni był etatowym uzbrojeniem ich służb.

Wskazanie pistoletu Browning FN kal. 7,65 mm jako narzędzia zbrodni nie było przypadkowym, ponieważ pociski amunicji obu wymienionych typów broni praktycznie nie różniły się kalibrem. Na podstawie ran wlotowych nie sposób było wtedy zweryfikować rodzaju pistoletu, z którego oddane zostały strzały.

Na miejscu zbrodni sprawca pozostawił po sobie jednak trzy łuski typu TT, do których on i jego mocodawcy zupełnie nie przywiązywali wagi, i z czasem najpewniej o nich zapomnieli.



Łuski rosyjskich naboji pistoletowych TT kal. 7,62 mm znalezione w „wanicowym” lesie w Malinówce na miejscu zbrodni małżeństwa Żubrydów (fot. W. Pasterkiewicz)

Wszystkie one miały charakterystycznie dla pistoletów TT kal. 7,62 mm identycznie zbitą spłonkę. Dowodziło to, że wystrzelono je z tej samej „tetetki”.

Na pewno znalezione łuski nie były pokłosiem przechodzącego frontu, ponieważ na denku jednej z nich udało się później odczytać „45”. W ten sposób producent amunicji oznaczał dwoma ostatnimi cyframi rok produkcji (autor, będąc muzealnikiem, posiadał w tej materii rozległą i ugruntowaną wiedzę). Oznaczało to, że nabój został wyprodukowany w 1945 r. Na

tych ziemiach Armia Czerwona pozostawiła po sobie amunicję TT lub łuski po niej wyłącznie z produkcji 1943 r. (43) lub 1944 r. (44). Praktyką było, że do magazynka pistoletowego ładowano amunicję z tej samej kartonowej paczki, w jakiej wyszła ona od producenta. Można było zatem postawić tezę, że pozostałe dwie znalezione łuski również wyprodukowano w tym samym roku.

Odczytana data dowodziła niezbicie, że sprawca nie używał amunicji frontowej, ale pochodzącej z bieżących dostaw. „Wiekowa” amunicja mogła wcale nie zadziałać i wtedy los agenta byłby przesądzony. Mogła też zadziałać z pomniejszoną energią i tylko przebić jedną ściankę czaszki. Wytraciłaby wtedy całą swoją energię, koziołkując w mózgu. Skutkowałoby to błyskawiczną i natychmiastową śmiercią mjr Żubryda, ale wtedy nic takiego nie nastąpiło, o czym wspominał sam Vaulin.

Użycie „tetetki”, a nie Browninga FN mogła dyktować właśnie amunicja. Najświeższa kal. 7,65 mm, do której zabójca miał wtedy dostęp, mogła pochodzić z produkcji o co najmniej 2 lata wcześniejszej. Użycie takiej amunicji pod koniec 1946 r. było bardzo ryzykowne, ponieważ w warunkach partyzanckich następował szybki proces utraty jej właściwości. Deszcz i wilgoć robiły swoje, były one częstym powodem nieodpalenia spłonki lub niekorzystnie wydłużonego w czasie spalania się ładunku prochowego naboju. Taka wiedza nie była w tamtym czasie niczym szczególnym. Posiadał ją zarówno agent jak i jego mocodawcy.

Z zeznań Jerzego Vaulina przed sądem w Krośnie wynikałoby, że mógł dysponować jeszcze starszą amunicją. Morderca bowiem wyjaśniał, że pistolet FN kal. 7,65 mm pozyskał od znajomego akowca, Kazimierza Bocheńskiego, mieszkańca Równego k/Krosna. Nastąpiło to w kwietniu 1946 r., niedługo potem jak przyjechał z Wrocławia na Podkarpacie. Sprecyzował on ponadto, że otrzymał pistolet przedwojenny i było do niego tylko 5 sztuk amunicji. Broni tej i amunicji użył później tylko jeden raz, do „pokonania” Antoniego Żubryda.

Autor, na ile tylko mógł zgłębił temat obrażeń, jakie powoduje amunicja obu typów. Szczególnie pomocnymi były opublikowane zdjęcia czaszek polskich oficerów zabitych w Katyniu przez ludobójców Generalissimusa Stalina. Korzystali oni głównie z pistoletów niemieckiej firmy Walther typu PPK i PP, na podobny nabój kal. 7,65 mm. Zdaniem autora, sowieccy mordercy, mający za sobą ogromne doświadczenie w zabijaniu ludzi strzałem w tył głowy, nie używali do egzekucji pistoletu TT, który był etatowym uzbrojeniem sowieckiego NKWD wyłącznie z praktycznego powodu, do czego skłoniły go wnioski z dalszej części analizowanej tematyki.

Amunicję Browninga kal. 7,65 mm i Tokariewa 7,62 mm zasadniczo różnił jeden parametr, energia wylotowa pocisku. Nabój Tokariewa miał ją o wiele większą.

I ten parametr w ocenie autora miał swoje bezpośrednie odniesienie w małym fragmencie zeznań sprawcy, który wydaje się być jak najbardziej prawdziwym (Jerzy Vaulin jako doświadczony agent w zeznaniach przed sądem posługiwał się prawdą i kłamstwami, czym utrudniał ich wychwycenie, a tym samym zakwestionowanie i podważenie jego wersji zdarzeń). Relacjonował on, że po strzale w kierunku głowy mjr Żubryda usłyszał za chwilę

w ciemności, że ten „kopie nogami i charczy”. Dlatego potem, mierząc z całkiem bliska oddał w jego głowę drugi strzał, dobijając nim definitywnie swoją ofiarę.

To, że nie pozbawił on życia mjr Żubryda za pierwszym strzałem mogło wynikać z dwóch powodów.

Pierwszym była pora dnia (noc) i dynamizm sytuacji, obaj dość szybko szli, strzał padł zaraz potem jak skręcili z leśnej drogi na ścieżkę.

Druga przyczyna, prawdopodobnie o większym znaczeniu, tkwiła w tym, że zabójca był wyjątkowo kiepskim żołnierzem. Jako pierwszy odkrył ten jego defekt najwybitniejszy dowódca partyzancki na Podkarpaciu, ppor. Józef Czuchra ps. „Orski”, dowódca oddziału partyzanckiego AK-NOW OP-11. Oddział ten powstał w Łękach Dukielskich. Vaulin trafił do niego poprzez swoich protektorów, rodzinę Plisowskich z Kobylan (spokrewnioną z Sulimirskimi), do której przyjechał on z Warszawy, gdzie wcześniej zamieszkiwał. Używał pseudonimu „Mar”. Dość szybko dopuścił się w tym oddziale ciężkiej niesubordynacji na służbie, która mogła zakończyć się tragicznie dla partyzantów kwaterujących w Myszkowskim, przysiółku Łęk Dukielskich. Za karę wymierzona mu została chłosta wyciorem karabinowym. Nastąpiło to na oczach żołnierzy oddziału, co uraziło jego dumę. Niezniosł tego upokorzenia i zdezerterował z OP-11. Przysłał do grupy Franciszka Krzyškowa „Korala” (jej załączkiem byli więźniowie odbici z więzienia w Jaśle podczas wspomnianej akcji o kryptonimie „Pensjonat”), która kwaterowała w Łazach, innym z przysiółków Łęk Dukielskich. Po likwidacji „Korala” przez AK (wykonano na nim wyrok śmierci za udowodnione mu sprawy obyczajowe) przeszedł wraz z pozostałymi partyzantami do oddziału ppor. Władysława Barana „Bekasa”. Niedługo potem wraz z Ignacym Muronem ps. „Motor” brał on udział w nieudanej akcji, w której zginął niemiecki policjant. W odwecie gestapo jasielskie rozstrzelało 6 lutego 1944 r. w Jedliczu 22 mężczyzn, najprawdopodobniej więźniów z Jasła. Po tym fakcie sprawcy tragedii obciążyli nieżyjącego już „Korala” odpowiedzialnością za jej tragiczne skutki. „Motor”, który dowodził patrolem egzekucyjnym, stał się dla niego swoistym idolem. Pod jego dowództwem uczestniczył w kilku akcjach wymierzonych w niemieckich konfidentów. „Mar” został ranny w dość przypadkowych okolicznościach, przy leśniczówce Wojciecha Karni w Popardach, przysiółku Równego. Został później przewieziony wozem konnym przez Mariana Piotrowskiego (już nie żyje, autor przeprowadził z nim wywiad, który został opublikowany w 2014 r. pt. „Wspomnienia Mariana Piotrowskiego”) do szpitalika partyzanckiego w Kobylanach. Operował go ściągnięty z Iwonicza Zdroju dr Aleksiewicz. Później dochodził do zdrowia dzięki opiece rodzin z Łęk Dukielskich i Wietrzna. Było to dla nich podwójnie niebezpieczne, ponieważ wiedzieli, że ranny był narodowości żydowskiej. Po podleczeniu, „Mar” wziął udział w słynnym zamachu w Dukli 14 czerwca 1944 r. na sierżanta żandarmerii niemieckiej Paula Diebala, zwanego Majstrem. Spanikował wtedy i zamiast strzelać do kata Polaków, zaczął strzelać na oślep, ciężko raniąc w rękę wykonawcę wyroku, Jana Malinowskiego ps. „Rolski”.

Prawdopodobnie pod wpływem Jerzego Vaulina ostatni żyjący uczestnik tej akcji, Stanisław Karnia ps. „Longinus” w opisie akcji sporządzonym przez siebie 15 listopada 1996 r. i zatytułowanym „Szczegółowy opis akcji patrolu AK w likwidacji Majstra policji granatowej

Diebala w Dukli – czerwiec 1944 r.” (kopia w posiadaniu autora) przeinaczył prawdziwe w niej „zasługi” Vaulina, pisząc: „Prawdopodobne jest, że postrzał jaki otrzymał „Rolski” w prawy przegub ręki pochodził od Tomczaka, który wpadł pod stół” (Tomczak był granatowym policjantem i w jego towarzystwie przebywał wtedy Diebal). Pozostawało to, o tyle dziwne, ponieważ dość powszechnie było wiadomo, kto był tego faktycznym sprawcą (m. in. zawierała to przywołana wcześniej notka sporządzona przez Andrzeja Zagórskiego, z której wynikało, że „Mar” Jerzy Vaulin „odznaczył” się w akcji na Diebala tym, że postrzelił w rękę Malinowskiego”.

Zdaniem autora sporządzenie tego dokumentu miało ścisły związek z wyrokiem z dnia 8 czerwca 1994 r. Sądu Wojewódzkiego w Rzeszowie (sygn. akt II Ko 648/94), który unieważnił postanowienia Wojskowej Prokuratury Rejonowej z 12 grudnia 1946 r. dotyczące umorzenia postępowania wobec śmierci Antoniego Żubryda i jednocześnie dokonał jego rehabilitacji, uznając go za bohatera walczącego o niepodległy byt państwa polskiego.

Innym bodźcem mógł być proces Adama Humera zakończony w 1994 r., w którym Sąd udowodnił temu funkcjonariuszowi UB jego zbrodnie i skazał go na karę wieloletniego więzienia.

Jerzy Vaulin musiał zdać sobie sprawę, że podobnie jak Humer, on także może zostać pociągnięty do odpowiedzialności za swoje zbrodnie. Stąd pojawił się pomysł na chlubną i piękną kartę, którą jakoby miał zapisać w szeregach Armii Krajowej, walczącej z niemieckim okupantem. Jednym słowem podszywał się pod kogoś innego.

To, że po pierwszym strzale „Zuch” jeszcze żył mogło właśnie wynikać z mało precyzyjnego strzału oraz z dużej energii wylotowej pocisku połączonej z jego aerodynamicznym kształtem. Pocisk amunicji 7,62 x 25 mm TT osiągający dużą prędkość nie posiadał zbyt dużego potencjału obezwładniającego, który szczególnie dobrze obrazuje np. amunicja kal. 0,45 cala używana m. in. w amerykańskim pistolecie Colt 1911. Dlatego ten pierwszy wystrzelony pocisk, zgodnie ze swoimi właściwościami fizycznymi przeszył czaszkę mjr Żubryda na wylot i spowodował ciężkie obrażenia, ale nie wytworzył „krateru” wylotowego, który skutkowałby jego natychmiastową śmiercią.

Najmocniej jednak przemówiło wzajemne usytuowanie łusek względem siebie, odpowiadające dokładnie wersji zdarzeń przedstawionych przed sądem przez Pawła Gierlacha i potwierdzonych przez jego żonę, Stanisławę.

Zeznał on, że do jego domu, w dniu 24 października 1946 r. około godziny dwudziestej przyszli dwaj nieznani mu mężczyźni i jedna kobieta. O tym, że był to Antoni Żubryd, dowiedział się dopiero później. Żubryd poprosił go, aby jego żona mogła pozostać w mieszkaniu około godziny, potem mężczyźni wyszli. Pierwszy szedł Żubryd, oświetlając sobie drogę latarką, a za nim szedł ten drugi mężczyzna. Po upływie około półtorej godziny, wrócił ten nieznany mężczyzna samotnie, informując, że plany się zmieniły, ale on ją zaprowadzi do męża. Po wypaleniu papierosa obydwój wyszli. Jako pierwsza szła żona Żubryda.

Dom Gierlachów już nie istnieje, wiele lat temu uległ rozbiórce, a rodzina zamieszkała w innym miejscu. Stał on przy drodze, przy której Janusz Niemiec upamiętnił swoich

rodziców „Krzyżem Żubrydów”, po jej prawej stronie, w odległości około 150 m na północny zachód od niego (miejsce to wskazał autorowi syn Gierlachów, było to w czasie uroczystości rocznicowych przy krzyżu w Malinówce).

Zdaniem autora zeznania Pawła Gierlacha połączone ze znalezionymi na miejscu zbrodni łuskami pistoletowymi oraz dostępnymi materiałami z różnych źródeł pozwalają na zrekonstruowanie ostatniego aktu dramatu bohaterów, wg następującego przebiegu:

„Był 24 października 1946 r. W dwóch ostatnich miesiącach batalion NSZ mjr Antoniego Żubryda poniósł cały szereg klęsk. Pod rozkazami dowódcy pozostawały już tylko resztki oddziału, góra kilkudziesięciu żołnierzy. Byli oni rozproszeni i działali w małych grupkach, ale zachowywali z nim kontakt. Major i jego żona Janina opuścili powiat sanocki, który stawał się coraz bardziej niebezpieczny. Zamieszkiwał go duży odsetek ludności rusińskiej, sprzyjającej UPA. Jej sotnie uderzyły na wiele polskich miejscowości wspierających partyzantów „Zucha”. Cztery dni wcześniej ich los podzieliła wieś Prusiek, gdzie u państwa Marii i Jana Rudych ukrywał się on w czasie okupacji niemieckiej, a później korzystał z tej kwatery już tylko sporadycznie. „Bezpieka” była coraz lepiej zorientowana, w jaki sposób funkcjonuje oddział, toteż ze szczególną zawziętością uderzyła w jego podstawy bytowe, nastąpiło wiele dekonspiracji i aresztowań. Zastraszeni ludzie dawali odczuć partyzantom, że boją się ich kwaterować. Ciągłe wspierali ich żywnością, ale robili to coraz dyskretniej. Sami żyli w niedostatku, ale wiedzieli, że przetrwanie leśnego wojska niezmiennie spoczywało w ich rękach. W tych okolicznościach „Zuch” i jego żona przenieśli się do powiatu brzozowskiego, gdzie znaleźli schronienie w miejscowościach będących prawdziwą opoką polskości na tych ziemiach, Orzechówce i Malinówce. Mieli tam wsparcie ze strony ich mieszkańców, a także ojców jezuitów z pobliskiego klasztoru w Starej Wsi, księży okolicznych parafii rzymskokatolickich oraz byłych akowców, w części związanych ze Zrzeszeniem „Wolność i Niezawisłość”.

Tego dnia utartym zwyczajem, po zmroku, Antoni i Janina Żubrydowie opuścili najbardziej sekretną kwaterę dowódcy batalionu „Zuch”, mieszczącą się w domu Karoliny Krzysik w Malinówce. Zamierzali udać się do Woli Orzechowskiej, gdzie Janina miała swoje konspiracyjne mieszkanie u Weroniki Glazer. Miejsca te dzieliła prawie trzykilometrowa odległość, z czego około kilometr drogi należało przebyć lasem. O tych kwaterach wiedziało tylko kilku najbardziej zaufanych żołnierzy mjr Żubryda. Bezpośrednią ochronę kwatery Janiny zapewniał Edward Glazer, syn właścicielki domu, pełniący w oddziale funkcję wywiadowcy. Małżonkowie po drodze wstąpili do Wiktorii Kot w Malinówce, gdzie kwaterował adiutant majora, Jerzy Vaulin. Był on w oddziale dopiero od kilku miesięcy i funkcję adiutanta zaczął pełnić całkiem niedawno. Przekonał do siebie dowódcę tym, że posiadał sprawdzony akowski życiorys i pochodził z Warszawy, która była szczególnie mu bliska, ponieważ bronił jej we wrześniu 1939 r., okazując męstwo na polu walki, za co został odznaczony Krzyżem Walecznych. Adiutant starał się gorliwie wypełniać swoje obowiązki, ale średnio mu to wychodziło i nie zyskał jego pełnego zaufania. Nic nie wiedział o kwaterze, z której oni dopiero co wyszli. „Zuch” otaczał ją głęboką tajemnicą. Dbał o bezpieczeństwo Krzysikowej, na równi z własnym i swojej żony.

Po forsownym marszu drogą pod górę cała trójka dotarła w pobliże lasu. Zmęczył on Janinę i wywołał jakieś kobiece dolegliwości. Major postanowił, w trosce o żonę, wstąpić do ostatniego domu w Malinówce, aby mogła ona chociaż na chwilę odpocząć. Dom stał przy drodze, w pobliżu lasu i „Zuch” wielokrotnie mijał go, ale nigdy nie zatrzymywał się tam. Nie znał gospodarza, ale ten nie robił problemu, aby Janina mogła pobyc u niego. Nie chcąc tracić czasu „Zuch” postanowił osobiście sprawdzić, czy kwatera u Glazerów jest bezpieczna. Nie zdecydował się wysłać samego adiutanta, ponieważ ten miał odwieczny problem z orientacją w terenie, a zwłaszcza w nocy. Uznał, że będzie szybciej, gdy pójda razem. W międzyczasie w głowie Jerzego Vaulina, agenta „w skórze adiutanta”, zaczął coraz mocniej dźwięczeć rozkaz jego mocodawców „zlikwidować ich obojga”! Przeobrażał się on z każdą chwilą w coraz bardziej skonkretyzowany plan pozbawienia ich życia, jeszcze tej nocy. Od dawna wyczekiwał takiej okazji. Był uzbrojony w dwa pistolety. Miał Browninga FN kal. 7,65 mm, którym oficjalnie obnosił się i „tetetkę”, którą dysponował od niedawna. Skrywał ją pieczołowicie pod bluzą, ciągle przeładowaną. Nabój pozostawał w komorze naboowej, a kurek był naciągnięty na ząb zabezpieczający, co w taki sposób zabezpieczało tę broń.

Była ciepła październikowa noc, minęła godzina dwudziesta. Major postanowił możliwie szybko pokonać ten dystans. Oszacował, że wyprawa zajmie mu maksymalnie do godziny czasu. Uznał, że ciepła kurtka może mu tylko w tym przeszkadzać. Przed wyjściem zdjął ją i pozostawił przy żonie. Wyszli z domu, na przedzie szedł „Zuch” i oświetlał drogę elektryczną latarką. Już od progu narzucił szybkie tempo marszu. Po kilku minutach obaj skręcili z polnej drogi do lasu. Prowadzący wsłuchiwał się w ciszę leśną, ale stamtąd nic niepokojącego nie dobiegało. Nie rozmawiał z adiutantem, koncentrując się na drodze. Agent też milczał, ale był skupiony na czymś zupełnie innym. Wyczekiwał dogodnego momentu na wykonanie egzekucji. W końcu zamajaczyło charakterystyczne i znane mu już miejsce, gdzie droga do Woli Orzechowskiej rozwidlała się przy grubym buku z leśną ścieżką. Uznał, że oddalili się już na tyle od domu, iż ściana lasu wytłumi huk wystrzału. Podjął decyzję i błyskawicznie sięgnął po broń w chwili, gdy major skręcił w lewo i wszedł na leśną ścieżkę. Będąc po jego lewej stronie, doskoczył do niego i strzelił mu w tył głowy, z odległości około metra. Odrzut broni spowodował lekki podskok lufy, co tylko trochę zminimalizowała słabo zaciśnięta dłoń na rękojeści. Pocisk trafił w boczną stronę górnej części głowy „Zucha” i przeszył ją na wylot. Na drodze, kilka metrów od strzelającego, wylądowała łuska (miejsce oznaczone na zdjęciu poniżej tyczką nr 1). Trafienie było mało precyzyjne, ale major padł jak ścięty. Ciało spoczęło w pozycji prawie równoległej do drogi i było dobrze widoczne w świetle leżącej w pobliżu latarki. Zapadła cisza. Nagle przerwało ją poruszenie się ciężko rannego człowieka i jego rżenie. Zdenerwowany morderca ostrożnie ruszył leśną drogą, trzymając broń w pogotowiu. Gdy znalazł się w odległości około metra od jego głowy, uniósł „tetetkę” i wymierzył lufę prosto w czoło ofiary. Tym razem mocno trzymał broń w ręku. Leśną ciszę zburzył drugi strzał. Pocisk trafił tam, gdzie wymierzył zabójca, a łuska wylądowała na skraju drogi (miejsce oznaczone na zdjęciu tyczką nr 2). Mjr Antoni Żubryd nie wydawał już żadnych oznak życia. W jednej chwili napięcie sięgające zenitu przerodziło się u zabójcy w euforię. Położył się plecami na ziemi pokrytej grubą warstwą jesiennych liści i w takiej pozycji upajał się swoim sukcesem. Trwało to długo, aż do czasu, gdy chłód ziemi przywrócił go do rzeczywistości. Od egzekucji do momentu, gdy ukrył ciało ofiary

w pobliskim dołku upłynęło sporo ponad godzinę. Uporządkował myśli i szczegółowo ułożył dalszą część planu. Wrócił do Gierlachów i zastał niespokojną i zdenerwowaną długim wyczekiwaniem Janinę. Uspokoił ją papierosem i wymyśloną bajeczką o wojsku, które jakoby przeprowadzało obławę w pobliżu i strzelało. Przekonał ją, że żołnierze już odjechali i droga na kwaterę była bezpieczną. Zakomunikował, że plany się zmieniły, mąż już rozgościł się na kwaterze i tam oczekuje na nią. W niecały kwadrans Janina była gotowa do drogi, agent wziął kurtkę majora i opuścili dom. Prowadził Vaulin, za nim podążała Janina. Prowadzący próbował zagajać rozmowę, ale kobieta stawiała się coraz bardziej niespokojną i niechętnie mu odpowiadała. Szli trochę wolniej, niż poprzednio, dlatego więcej czasu zajęło im dotarcie do miejsca zbrodni. Gdy tam już przybyli Vaulin zatrzymał się i oznajmił z satysfakcją w głosie, że przed dwoma godzinami, w tym miejscu zlikwidował jej męża. Jego słowa zszokowały i przerażyły Janinę. Najpierw zamarła w trwodze, ale potem zaczęła krzyczeć i rzuciła się do ucieczki. Biegła ścieżką w kierunku kwatery u Glazerów, tam upatrywała ratunku. Morderca rzucił się za nią w pogoń i dopadł ją, już po niecałych 10 metrach. Chwycił ją jedną ręką mocno za kołnierz płaszcza, a drugą uzbrojoną w „tettetkę” przystawił do głowy. Padł strzał, pocisk przeszył centralnie głowę Janiny na wylot. Łuska wyleciała z broni w kierunku skąd przybyli i spadła na ścieżkę kilka metrów dalej (miejsce oznaczone na zdjęciu tyczką nr 3).



Miejsce zbrodni, tyczki o nr 1 i 2 wyznaczają pozycje łusek po strzałach oddanych do mjr Antoniego Żubryda, o nr 3 do żony Janiny, w środku tablica kierunkowa „Szlak mjr Żubryda” (fot. A. Hejnar)

Już po pierwszym strzale kobieta była martwa i nie musiał, tak jak poprzednio, dobijać swojej ofiary. Odciągnął zwłoki Janiny ze ścieżki i ukrył je w pobliżu miejsca, gdzie leżały zwłoki jej męża. Przeszukał obojga, zabrał im broń, dokumenty oraz pozbawił Janinę biżuterii. Zwłoki pozostawił w lesie, a sam udał się do Krosna.

Dotarł tam z małymi przygodami następnego dnia, o rannej porze.

Operację, w której agent Vaulin był uczestnikiem i końcowym wykonawcą, zaplanował kontrwywiad sowiecki „Smiersz”. Miał on swoje umocowanie w strukturach Wojska Polskiego pod przykryciem Informacji Wojskowej. Oficerowie „Smiersza” wspomagali również działalność nowotworzonej „bezpieki”, której funkcjonariusze dopiero co raczkowali w swojej profesji. Tak też było w przypadku PUBP w Krośnie.

Stanowiła ona odwet za zlikwidowanych przez batalion NSZ mjr Antoniego Żubryda sowieckich wojskowych oddelegowanych do jednostek komunistycznego Wojska Polskiego. Byli wśród nich ppłk Teodor Rajewski (Fiodor Iwanowicz Rajewski), szef sztabu 8 Dywizji Piechoty oraz mjr Abraham Preminger szef Wydziału Polityczno-Wychowawczego tejże dywizji, którzy nosili najwyższe stopnie wśród Sowietów poległych w starciu z podziemiem II konspiracji niepodległościowej.

Była też zemstą za żołnierzy z szeregów komunistycznego Wojska Polskiego, którzy zdezerterowali do oddziału „Zucha”.

Ponieważ mózgiem operacji byli oficerowie „Smiersza”, jego najbliższym kontaktem został Stanisław Supruniuk, agent sowiecki pełniący obowiązki Szefa PUBP w Krośnie.

W działania operacyjne nie wtajemniczono Powiatowych Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego z Brzozowa i Sanoka, ponieważ Sowietci ustalili ze stuprocentową pewnością, że wcześniejsze niepowodzenia z agentami wprowadzonymi do oddziału mjr Żubryda były spowodowane przeciekami wewnętrznymi „bezpieki”. Stąd rozgrywali ją po swojemu, bez wtajemniczania „kołków z UB”, a do takich nie zaliczali Stanisława Supruniuka, swojego agenta.



Oryginalna tablica z budynku przy ul. Piłsudskiego w Krośnie, gdzie mieścił się sowiecki kontrwywiad wojskowy „Smiersz” (*Главноеуправлениеконтрразведки «СМЕРШ» НародногoкомиссариатаобороныНКО СССР* - Specjalne Metody Wykrywania Szpiegów, śmierć szpionom – śmierć szpiegom Narodowy Komitet Obrony ZSRR) (ze zbiorów Prywatnego Muzeum Podkarpackich Pól Bitewnych w Krośnie)

Niedługo potem oficer dyżurny PUBP w Krośnie poinformował telefonicznie swojego odpowiednika w Brzozowie o zwłokach Żubrydów, pozostawionych w lesie opodal Malinówki. Uruchomił tym samym brzozowskich funkcjonariuszy, którzy niezwłocznie udali się dwoma samochodami ciężarowymi do Malinówki. Wojsko i UB zajęło i obstawiło centrum wsi, drogi dojazdowe zaryglowano karabinami maszynowymi. Oficerowie UB pojawili się u Ferdynanda Józefczyka, który był gajowym i opiekował się tą częścią „wanicowego” lasu, w której zginęli Żubrydowie. Dostał od nich polecenie udania się do lasu wozem zaprzęgniętym w konie. Zmuszono go do załadunku zwłok na wóz, a następnie przewiezienia ich koło sklepu w Malinówce. Tam nastąpił ich publiczny pokaz, a wg „bezpieki” służył on identyfikacji zabitych. Odbyło się to w ten sposób, że zwłoki zostały złożone na trawie, w pobliskim ogrodzie i leżały tam kilka godzin, aż do czasu załadunku na podstawiony samochód ciężarowy, którym przewieziono je do Brzozowa. Stamtąd odbyły one drogę do Rzeszowa.

Po potwierdzeniu przez „ubeków” z Brzozowa faktu odnalezienia zwłok, następny telefon wykonał Stanisław Supruniuk, szef PUBP w Krośnie. Poinformował swojego sowieckiego zwierzchnika z Rzeszowa o sukcesie operacji i zrelacjonował jej przebieg. Tamten musiał długo oczekiwać takiej informacji, ponieważ wywołała ona jego spontaniczny aplauz. Z zadowoleniem dowiadywał się, że finał akcji przebiegł według wytycznych, jakie agent otrzymał od swoich radzieckich instruktorów. Oficer „Smiersza” cenił sobie te stare i sprawdzone metody postępowania, które agent wdrożył z „subtelnością czekisty”. Istotą akcji nie było pojmanie Żubryda żywcem, ale chodziło o jego fizyczne unicestwienie. W uznaniu dobrze wykonanej roboty sowiecki zwierzchnik postanowił stosownie wynagrodzić Jerzego Vaulina. Nagrodą był użyty do egzekucji rosyjski pistolet systemu TT, kal. 7,62 mm. Na odchodnym, już w innym tonie, dał jasno do zrozumienia polskiemu zdrajcy w mundurze kpt. UB, że pozostawia mu dokończenie operacji, czyli szybką likwidację na swoim terenie resztek batalionu NSZ „Zuch”. Dodał zaraz, że działania operacyjne zmierzające do dyskredytacji w oczach opinii publicznej Antoniego Żubryda i jego oddziału mają zostać zintensyfikowane i trwać do odwołania.

Dopiero w następnym dniu, z racji swojej dwutorowej podległości Szef PUBP w Krośnie, kpt. Stanisław Supruniuk sporządził wspomniany wcześniej raport do przełożonego, Szefa Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Rzeszowie, podając w nim m. in., że Jerzy Vaulin zdał swoją broń krótką, pistolet FN kal. 7,65 mm.

Agent jeszcze przez ponad tydzień pobyl w PUBP w Krośnie. Skrupulatnie wyluszczył całą swoją wiedzę o oddziale, w którym przebywał. Równie skwapliwie uczynił to w odniesieniu do swojego uczestnictwa w konspiracji niepodległościowej pod okupacją niemiecką i osobach, które w niej uczestniczyły.

Areszt śledczy PUBP w Krośnie opuścił z rosyjskim pistoletem TT, pozorując ucieczkę z niego. Nikt go jednak nie poszukiwał i nigdy nie wysłano za nim listów gończych.

Zrekonstruowany przez autora ciąg zdarzeń jeszcze mocniej uwiarygodniłyby szczątki ludzkie mjr Antoniego Żubryda i jego żony Janiny, ale jak dotychczas ich nie odnaleziono. W chwili śmierci miał on 28 lat, jego żona była młodsza od niego o 3 lata. Ostatnim wiadomym miejscem ich pobytu był Rzeszów. Nie wiadomo, co później stało się z nimi.

Wiele wskazuje na to, że odpowiednie informacje w przedmiocie sprawy mogą zawierać archiwa „Smiersza” w Federacji Rosyjskiej.

Jan Kielar pamiętał, że po śmierci Żubrydów jeszcze przez około 10 lat miejsce kaźni było oznakowane niewielkim drewnianym krzyżem. Był on przymocowany do pnia dużego drzewa, prawdopodobnie buka. Po jego ścięciu, przez kolejne lata krzyż spoczywał na pniu, który po nim pozostał. Autorowi udało się go odszukać. Znajdował się on w ukryciu niskich jodełek, kilka metrów od rozwidlenia leśnej drogi ze ścieżką, zachował się nawet mały fragment ramienia wspomnianego krzyża.



Wygląd obecny pnia „grubego buka”, który stanowił punkt orientacyjny dla zabójcy Żubrydów.
Na pniu fragment ramienia krzyża, którym około 70 lat temu upamiętniono miejsce ich śmierci
(fot. W. Pasterkiewicz)

Dzięki Henrykowi Kozikowi z Brzozowa bohaterowie walki o byt niepodległej Polski mają swój symboliczny grób. Znajduje się on w odległości około 70 kroków od miejsca ich zabójstwa.



Miejsce śmierci mjr Antoniego Żubryda i żony Janiny oznaczyli Dorota i Piotr Kiełtyka na słupie „Szlak mjr Żubryda” (inicjatywa Stowarzyszenia Idea Carpathia) krzyżem z trzema łuskami rosyjskich naboí typu TT (fot. L. Wilk)

Akcja poszukiwawcza w Malinówce oraz znalezienie łusek po nabojach wystrzelonych przez zabójcę Żubrydów wywołała spore zainteresowanie w lokalnej społeczności i miała swoje konsekwencje.

W ich wyniku, około miesiąca później, autor dotarł do mieszkanki Sanoka, Heleny Nikody, z domu Chrobak, rocznik 1934. Pochodziła ona z Woli Orzechowskiej, gdzie wychowywała się w gronie ośmiorga rodzeństwa. Jej ojciec, Adolf Chrobak, był weteranem I wojny światowej, walczył w wojnie polsko-bolszewickiej, po mobilizacji brał udział w kampanii wrześniowej, wrócił do domu w grudniu 1939 r. Matka Karolina zajmowała się głównie gospodarstwem i wychowaniem dzieci. Jej rodzice posiadali dwa domy, zbudowane jeden przy drugim. Przed wojną w jednym z nich prowadzili sklep, ale po wejściu Niemców zlikwidowali go. W czasie okupacji niemieckiej sytuacja materialna rodziny tak się pogorszyła, że nie byli w stanie wywiązać się z obowiązkowej dostawy żywności, tzw. „kontyngentu”. W ich domu pojawiła się policja niemiecka. Widok licznych dzieci, małych i szlochających z przerażenia, zmiękczył Niemców na tyle, że odstąpili oni od ukarania rodziny i zabrania im jedynej krowy.

Było to tak niecodzienne zachowanie się okupanta na tym terenie, że sąsiedzi wręcz posądzili Chrobaków o kolaborację z nim.



Rodzina Adolfa i Weroniki Chrobak, mała Helenka z prawej strony ojca (zdjęcie pochodzi z końca lat trzydziestych XX wieku, ze zbioru Heleny Nikody)

Ich zabudowania znajdowały się na obrzeżu Woli Orzechowskiej i tworzyły wraz z domem Weroniki Glazer, siostry jej matki, mini przysiółek zwany potocznie „Na końcu”. Cała Wola Orzechowska liczyła około 25 domostw i wszyscy jej mieszkańcy byli narodowości polskiej. W ich sąsiedztwie znajdowała się letnia rezydencja Zakonu Jezuitów ze Starej Wsi.

Ojciec Heleny był człowiekiem wszechstronnie uzdolnionym. W czasie okupacji niemieckiej, prawdopodobnie pod koniec 1943 r., zaczął paruć się produkcją mydła, żeby utrzymać rodzinę. Ciągłe eksperymentując, szybko rozwinął w warunkach chałupniczych jego produkcję na dużą skalę. Łój pozyskiwał głównie od zakonników ze Starej Wsi, a inne

potrzebne komponenty, takie jak soda kaustyczna i kalafonia nabywał w sklepach, które nimi obracały. Z czasem w produkcję mydła została zaangażowana cała rodzina Chrobaków.



Zabudowania rodziny Adolfa i Karoliny Chrobak w Woli Orzechowskiej
(źródło: zbiory Heleny Nikody)

Produkowali oni trzy rodzaje mydła: do prania, do mycia i do golenia. Ojciec dbał, aby cały czas podnosić jakość wyrobów. Mydło do mycia się miało swoje logo, wybijane na mosiężnej formie (forma i dwa rodzaje mydła zostały przekazane do Prywatnego Muzeum Podkarpackich Pól Bitewnych). Środki zapachowe przywoził on aż ze Lwowa. Produkcja tak się rozwinęła, że oprócz lokalnych, detalicznych odbiorców, zaczął zaopatrywać sąsiednie miasta Brzozów i Sanok. Miał swoich stałych odbiorców, którzy po towar przyjeżdżali do ich domu, wśród nich były osoby związane z konspiracją

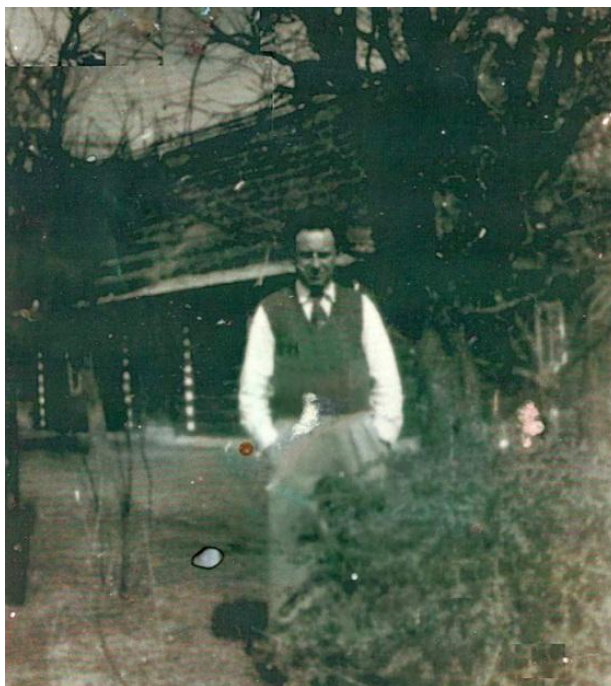
Po przejściu frontu, w domu jej rodziców ulokował się dowódca I Frontu Ukraińskiego marszałek Iwan Koniew. Sowieci zajęli również zabudowania Glazerów oraz wszystkie pozostałe w Woli Orzechowskiej. Teren wokół domów, gdzie był rozmieszczony sztab dniem i nocą pilnowali uzbrojeni wartownicy. Do dyspozycji sowietów rodzina Chrobaków musiała oddać część mieszkalną domów. Sami gnieździли się na strychu. Iwan Koniew był raczej prostym człowiekiem. Pomimo najwyższego stopnia w hierarchii wojskowej oraz pełnionej funkcji nie dało się zauważyć w jego sposobie bycia i zachowaniu się żadnych dobrych manier. Miał swoją kochankę, która nosiła mundur Armii Czerwonej. Jej rodzice kilka razy przygotowali dla niej kąpiel w dużej bali, którą używali do produkcji mydła. Już w pierwszą noc po opuszczeniu ich domu przez Koniewa sowieccy „bojcy” zagarnęli rodzinie jedyną krowę, terroryzując bronią domowników. Ojciec zauważył również brak instrumentów muzycznych i innego sprzętu domowego, który miał ukryty w schowku między budynkami. Strata krowy była tak bolesną, że wyruszył on za sztabem Koniewa, który rozlokował się w Krasnej. Dzięki kochance dotarł do marszałka. Koniew nie był zbytnio zaskoczony informacją o kradzieży. Przywołał swojego oficera i polecił mu, aby ten wydał ojcu krowę. W ostrych słowach dał mu też do zrozumienia, że ma szybko wracać do domu i nigdy więcej nie pokazywać się u niego, w innym przypadku odda go w ręce „Smiersza” jako szpiega.

Ojciec więcej nie protestował pomimo, że dostał inną krowę, znacznie starszą od tej ukradzionej. Nie mając innego wyjścia musiał się nią zadowolić. Krowa była żywicielką rodziny i decydowała o jej dalszym bycie, ponieważ Sowietci pozbawili ją prawie całej żywności w czasie swojego pobytu.

Kilka miesięcy później rodzina Chrobaków wznowiła produkcję mydła i jej byt stopniowo zaczął się poprawiać.

Pani Helena wspominała, że kontakt rodziców z Antonim Żubrydem nastąpił poprzez dom jej ciotki, Weroniki Glazer, gdzie mieściła się jego kwatera. Mąż ciotki wyjechał przed wojną „za chlebem” do USA. Ona pozostała w kraju razem ze swoimi dziećmi, starszym synem i młodszą córką. Syn ciotki, Edward Glazer należał do jego oddziału (ur. w 1924 r. zginął tragicznie w latach 60. XX wieku, w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach).

Pani Helena zapamiętała, że z kwatery u ciotki szczególnie często korzystała Janina, żona Żubryda. Z Sanoka przywiozła ona tu całą swoją garderobę. Trzymała ją w komórcie, w szafie, którą miała do swojej wyłącznej dyspozycji. Janina była urodziwą i elegancką młodą kobietą. Ubierała się po cywilnemu, raczej skromnie, ale gustownie. Przebywała bez ochrony, nie demonstrując swojej obecności. Jej pobyt utrzymywany był w tajemnicy, nie pokazywała się w sąsiedztwie. Na kwaterze u Glazerów przebywała nieregularnie. Helena bardzo lubiła Janinę i jak tylko mogła starała się być w jej towarzystwie. Wspominała, że postrzegala Janinę jako osobę z wyższych sfer. Może decydowały o tym jej cechy, w obyciu była spokojna, chętnie opowiadała o swojej rodzinie, o tym, że ma synka pod opieką babci w Sanoku. Nigdy nie wypowiadała się na temat męża i jego działalności. Jej mąż przychodził na kwaterę nieregularnie, zazwyczaj towarzyszyło mu kilku jego żołnierzy, zawsze byli po cywilnemu.



Edward Glazer na tle swojego domu w Woli Orzechowskiej, w którym miała swoje konspiracyjne mieszkanie Janina, żona mjr A. Żubryda (zdjęcie z okresu powojennego, źródło: zbiory H. Nikody).

Jeden incydent utkwiał szczególnie w pamięci Heleny. Któregoś wieczoru przybiegła do jej rodziców ciotka Weronika. Była roztrzęsiona tym, że Żubryd przyjechał ciężarówką, całą wyładowaną bronią i amunicją. Bała się, że może ona eksplodować i zniszczyć jej dom. Być może nie do końca była wcześniej świadoma, z kim ma do czynienia. Było to niedługo przed śmiercią Żubryda.

Co później stało się z tym samochodem, tego już nie wiedziała.

Rozmówczyni zapamiętała Antoniego Żubryda jako mężczyznę przynajmniej średniego wzrostu, energicznego, o postawie wojskowej. Miał mały wąsik, ubierał się po cywilnemu. Lubił śpiewać. Tę jego cechę zapamiętała szczególnie, ponieważ spędził u nich wigilię 1945 r. Śpiewał z innymi polskie kolędy. Był wtedy rozluźniony, wesoły i kontaktowy. Do śpiewu przygrywał biesiadnikom zespół muzyczny z Woli Orzechowskiej Edwarda Glazera. Występował on z nim na wiejskich weselach i zabawach. Edward grał na akordeonie. Zdaniem rozmówczyni do oddziału Żubryda należeli również pozostali członkowie zespołu, a raczej na pewno był w nim jego rówieśnik Bronisław Preisner z Woli Orzechowskiej.

Dało się zauważyć, że Antoni Żubryd lubił towarzystwo chłopaków z zespołu Edwarda i ich muzykę.



Zespół muzyczny z Woli Orzechowskiej, Edward Glazer gra na harmonii (źródło: zbiory H. Nikody)

Ostatni raz rozmówczyni widziała Janinę Żubryd prawdopodobnie dzień lub dwa dni przed jej śmiercią, w domu Glazerów. Według niej Janina nie była w ciąży. A na pewno nie była ona w jej ósmym miesiącu, ponieważ zauważyłaby to po niej. Razem z nią przebywał na kwaterze jej mąż i jego adiutant. To, co rzuciło się wtedy Helenie w oczy, to nadgorliwość adiutanta. On wręcz nadskakiwał Żubrydowi, ogolił go i umył mu nogi w miednicy. Adiutant z nikim nie rozmawiał, był skupiony tylko na swoim dowódcy. W tym czasie Helena rozmawiała z Janiną, którą mało interesowało to, co dotyczyło zachowania się jej męża i jego adiutanta. Pod wieczór Helena poszła do swojego domu, a oni wszyscy razem pozostali u Glazerów.

Za kilka dni, około 2 – 3, dotarła do jej rodziny informacja o zamordowaniu małżeństwa Żubrydów. Zszokowała ona wszystkich. Już wtedy mieszkańcy Woli Orzechowskiej domyślali się, że zbójcą mógł być adiutant Żubryda (tak tytułowali Jerzego Vaulina). Mówili

też między sobą, że komuniści nie byli w stanie pokonać Żubryda w otwartej walce, tylko uczynili to po swojemu, perfidnym podstępem.

Pani Helena nie przypominała sobie, aby adiutant był więcej razy u Glazerów. Jej zdaniem agent nie zapamiętał tego miejsca, ponieważ Żubryd przyprowadził go na kwaterę wieczorem, co utrudniło jego orientację. Przypuszczalnie mógł dotrzeć tą samą drogą od strony Malinówki, którą podążali, kiedy go zamordował. Dlatego w jego pamięci utkwiło jedynie miejsce, gdzie przy grubym buku skręcili z drogi na znaną „Zuchowi” ścieżkę do przysiółka. Tylko tym można tłumaczyć brak represji ze strony UB wobec ciotki Weroniki Glazer (1896-1982) za kontakty z Żubrydem. Nie byli za nie prześladowani również jej rodzice.

Takiego szczęścia już nie miała Wiktoria Kot z Malinówki, która została skazana na 6 lat więzienia za współpracę z jego oddziałem (zmarła w 1981 r. w Kłodzku).

Po emisji w TVP Historia filmu „Bez przedawnienia, bez przebaczenia” z Januszem Niemcem skontaktowała się Iwona Bartólewska. W 1999 r. reżyserowała ona film dokumentalny „List do syna”, który był jej próbą odtworzenia historii morderstwa Żubrydów, zainspirowaną listem zabójcy, Jerzego Vaulina do syna ofiar. Pomimo upływu dwóch dekad od jego realizacji temat ten pozostał nadal bliski reżyserce, co potwierdzał zarówno sam telefon, jak i przekazana informacja. Posiadła ona ją w trakcie jego realizacji, ale zupełnie pominęła w swoim materiale, nie doceniając wtedy jej znaczenia. Dla dotychczasowych ustaleń badawczych miała ona jednak tak doniosłe znaczenie, że autor nawiązał z nią bezpośredni kontakt.

Rozmówczyni wspominała, że pierwszy kontakt z Jerzym Vaulinem nawiązała w 1996 r. w trakcie realizacji filmu „I wjechał czołg” dokumentującego śmierć kilkunastu osób, w tym małych dzieci, podczas defilady wojsk Układu Warszawskiego w Szczecinie. Jerzy Vaulin był wówczas operatorem kamery i nagrywał z tej parady materiał dla potrzeb propagandowych władz państwowych. W jej filmie został utrwalony wtedy jego obraz, jak z perspektywy warsztatu reżysera relacjonował w swoim mieszkaniu tę katastrofę, bez cienia empatii dla ofiar.

Owa ekranizacja ułatwiła reżyserce kontakt z nim przy realizacji wspomnianego filmu „List do syna”. Udzielając wywiadu w tym samym mieszkaniu co poprzednio, Jerzy Vaulin czuł się bardzo swobodnie. Dużo i chętnie opowiadał o pobycie w oddziale Żubryda i swoich wyczynach partyzanckich.

Chwalił się również swoją znajomością z Ewą i Czesławem Petelskimi, którzy reżyserowali film „Ogniomistrz Kaleń” oparty na powieści Jana Gerharda „Łuny w Bieszczadach”. Był ich konsultantem w trakcie jego realizacji. Wyjaśnił, że film „Ogniomistrz Kaleń” obejrzał na jego premierze i „mocno uśmieł się z niego”.

Z tamtego dnia najbardziej zapadło w jej pamięci dziwne zachowanie się Jerzego Vaulina. Opowiadając o okolicznościach śmierci małżeństwa Żubrydów, poderwał się nagle zza stołu i podszedł do półki zawieszanej nad tapczanem. Sięgnął po drewnianą szkatułę, która tam spoczywała i otworzył ją. Wyciągnął z niej pistolet. Z nim w dłoni fiknął na tapczanie kozła i odegrał przed nią scenę zabójstwa Żubrydów. Następnie lufę wycelował w jej kierunku i nie

kryjąc swojego samozadowolenia, oznajmił: „To jest rosyjski pistolet Tokariewa, „tetetka”, tej broni wtedy użyłem”.

Będąc już w domu, reżyserka opowiedziała swojemu ojcu o tym, co ją spotkało. Skomentował on ten incydent następująco: „Tetetka to broń ubeków”.

Te słowa utrwaliły na zawsze w jej pamięci nazwę pistoletu, którym posłużył się zabójca małżeństwa Żubrydów.

Wspominała, że Jerzy Vaulin zgodził się na wyjazd z ekipą telewizyjną na Podkarpacie, na miejsce, gdzie dokonał zabójstwa Żubrydów. Jednak kiedy samochód podjechał pod jego dom wycofał się z tej deklaracji. Film „List do syna” powstał już bez jego dalszego udziału. Zablokował jednak jego emisję telewizyjną pod zarzutem wykorzystania "utworu literackiego" w postaci jego listu.

W ocenie autora informacja uzyskana od Iwony Bartólewskiej, połączona z typem łusek znalezionych na miejscu zbrodni Żubrydów, przesądza wszelkie wątpliwości, co do typu broni użytej przez mordercę.

Jerzy Vaulin dokonał mordy małżeństwa Żubrydów, posługując się rosyjskim pistoletem typu TT kal. 7,62 mm.

Zabójca zmarł w marcu 2015 r. Przez lata był dziennikarzem, pracował m. in. w redakcji literackiej Polskiego Radia. W wytwórni filmowej Czołówka zrealizował ponad 20 filmów. Za swoje dokonania filmowe był wielokrotnie nagradzany przez Ministra Obrony Narodowej.

Na ludziach jego pokroju opierał się system narzucony Polakom przez sowietów, który niewolił ich we własnym kraju przez blisko pół wieku od zakończenia II wojny światowej.

Dalsze koleje życia Jana Kielara pozwalają pokazać prawdziwe oblicze tego systemu. Autor dowiadywał się o nich bezpośrednio od swojego rozmówcy, w czasie kilkukrotnych wizyt w jego domu, które nastąpiły już po emisji wspomnianych filmów.

Wspominał, że władze komunistyczne ogłaszały amnestie dla osób związanych ze zbrojnym podziemiem. On nigdy nie ujawnił się. Poza luźnymi kontaktami ze swoimi dawnymi kolegami, nie angażował się już w działalność konspiracyjną. Pozostał w domu, pracując na gospodarstwie swoich rodziców. Ciągłe obawiał się jednak aresztowania. Z uwagi na zagrożenie, mało kiedy spał w domu, wybierając komórkę w zabudowaniach gospodarczych.

Został aresztowany przez UB w lutym 1950 r. Tamtej nocy miał sen – horror. Śniło mu się, że UB otoczyło dom i aresztowało go. Sen był tak realistyczny, że oblały go zimne poty i zbudził się. Szybko ubrał się, ale po chwili stwierdził, że to tylko koszmar senny. Ponownie położył się do łóżka i zasnął. Zbudziły go krzyki pchających się do domu ubeków. Na ucieczkę nie było szans, dom i teren wokół niego był obstawiony. W domu przeprowadzono drobiazgową rewizję, ale bez efektów. Przewieziono go do aresztu śledczego UB w Brzozowie, który znajdował się w kamienicy na rynku. Rozpoczęło się przesłuchanie. Pytany był o organizację podziemną, do której należał i kiedy do niej wstąpił. Kto go zaprzysiężył. Czy był łącznikiem Żubryda i „Słuchawki”? Postawiono mu również zarzut

posiadania broni. Wszystkiemu zaprzeczył. Nie zdążył nawet dokończyć, kiedy sześciu ubeków z wściekłością rzuciło się na niego. Z każdej strony padały uderzenia. Upadł na ziemię, kopali go z całej siły, gdzie popadło. Katowanie trwało kilka godzin, dopóki tamci nie zmęczeni się. Był potwornie pobity, miał złamany nos, stracił pięć zębów.

Do niczego nie przyznał się i wszystkiemu zaprzeczył.

Na drugi dzień został skonfrontowany ze Stefanem Morawieckim z Brzozowa. Był on synem leśniczego, któremu dostarczał tajną korespondencję od Miksiewicza. Morawiecki o wszystkim opowiedział ubekom. Obciążając go zeznał, że widział Jana z bronią. Rozpoczęło się przesłuchanie połączone z biciem. Gdy padł pod gradem ciosów zadawanych z każdej strony, został skopany przez ubeków. Doświadczył na własnym ciele, do czego potrzebne im były ciężkie wojskowe buty. Te przesłuchania, z małymi przerwami, trwały cztery dni. Wydawało mu się, że kolejnego już nie przeżyje, że zakatują go na śmierć.

W piątym dniu, wraz Morawieckim, został załadowany na samochód i pod konwojem 20. żołnierzy zawieziono go do aresztu śledczego WUBP w Rzeszowie.

Na samo wspomnienie tamtych wydarzeń emocje zaczęły trząść opowiadającym, z jego oczu polały się łzy. Jego oprawcy nosili polskie mundury.

W Rzeszowie poddano go szczegółowej rewizji połączonej z ordynarnymi wyzwiskami i biciem. Potem zamknięto go w celi.

Z samego rana rozpoczęła się jego rzeszowska gehenna. Z celi przyprowadzono go do izby przesłuchań, która znajdowała się na trzecim piętrze. Czekало na niego sześciu ubeków. Od razu dali mu do zrozumienia, że u nich żarty skończyły się i nie będą cackać się z nim tak jak w Brzozowie. Wśród wyzwisk i przekleństw z furią rzucili się na niego. Do zadawania ciosów używali gumowych pałek, stalowych prętów i drewnianych kołków. Pod tą nawałą upadł na podłogę. Masakrowali go nadal w sposób trudny do opisanie, półprzytomnego kopali po całym ciele wojskowymi buciorami. Posadzili go półżywego i zamrozonego na krześle. Kolejne ciosy zadawali deską w kształcie wiosła, w okolicę ucha. Uderzenia były silne i niespodziewane. Powodowały one taran akustyczny w jego głowie. Po każdym takim uderzeniu wydawało mu się, że głowa mu pęknie i rozleci się na kawałki. Wszystko wirowało mu przed oczami. Był pewny, że za chwilę zatłuką go na śmierć, że stąd nie wyjdzie już żywy.

Gdy nawet to nie pomogło, jeden z ubeków rozwalił z wściekłości na nim drewniane krzesło, a potem okładał go z całej siły jego drewnianą nogą.

„Serce mi wtedy odbili” wspominał roztrzęsiony swymi wspomnieniami pan Jan. Jedni oprawcy pochwycili go pod ramiona, a inny zadał mu aż 80 ciosów bokserskich w jedno miejsce klatki piersiowej. Zatkąło go, nie mógł złapać oddechu i mówić. Gdy i to nie pomogło, powalili go na podłogę, a następnie tłukli z całej siły w bosc stopy i pięty gumowymi bykowcami. Od tych uderzeń stały się one fioletowo czarne. Lała się z nich krew. Ból był tak straszny, że niemal odchodził od zmysłów. Nie był w stanie ustać na własnych

nogach. W końcu sami ubecy zmęczeni się. Usłyszał, jak komentowali jego zachowanie: „twardy jest s...n”. Zawlekli go na wpół żywego i rzucili do celi.

Wspominał, że to pierwsze przesłuchanie w Rzeszowie trwało od 7 rano do 22 w nocy. Był po nim potwornie zmasakrowany. Pamiętał, że współtowarzysze niedoli z celi próbowali go напоić i czymś nakarmić, ale jego twarz była zupełną miazgą. Nie był w stanie nic przełknąć, a przez ostatni dzień nic nie jadł i nic nie pił. Po jakiejś godzinie w celi pojawił się ubek z pytaniem „czy ten s...n jeszcze żyje?”. Był trochę zaskoczony, gdy padła odpowiedź twierdząca.

Szczególnie serdecznie zaopiekował się nim młody organista z Rzeszowa. Choć sam był potwornie zmasakrowany, starał się nakarmić Jana. Pamiętał, że następnego dnia, a była wtedy niedziela, modlił się razem z nim, aby to wszystko przetrwać.

Od poniedziałku znowu zaczęły się przesłuchania, połączone z katowaniem. Im więcej go bili, tym bardziej zacinął się w sobie. Ubecy wręcz prześcigali się w pomysłach, jak bardziej zgnieść go moralnie i jakie jeszcze większe cierpienia mu zadać. Jego ręce od ramion w dół były czarne i poprzecinane od uderzeń. Podobnie było z resztą ciała. Z wielu ran ciekła krew i ropa.

Wspominał, że ubecy mieli cały asortyment przyrządów do zadawania bólu. Naliczył aż 10 różnego rodzaju narzędzi, którymi zadawano cierpienia. Doświadczył na sobie każdego z nich. Gdy bicie nie przyniosło rezultatów, ubecy zawlekli go pod prysznic. Była zimna, letnia noc. Pootwierali wszystkie okna na oścież. Rozebranego do naga postavili pod prysznicem. Puścili zimną wodę. W jej strugach stał około kwadransa. Ciało zastygło mu i zaczęło potwornie piec. W głowie pojawiły mu się jakieś omamy. Czarne plamy zawirowały przed oczami. Stracił czucie w kończynach i zwałił się jak kłoda na posadzkę. Niczego nie kontrolował, ciałem wstrząsały konwulsje. Znowu pomyślał, że to już jest jego koniec.

Zesztywniałego Jana ubecy zawlekli do celi. Do rana wstrząsały nim tak potężne dreszcze, że nikt tej nocy w celi już nie zasnął.

Był w stanie krytycznym. Upłynęło sporo czasu, zanim wróciły jego funkcje życiowe i doszedł trochę do siebie. Jego widok był tak żałosny, że niektórzy więźniowie doradzali mu, aby zaczął mówić, bo inaczej zatłuką go na śmierć. Na kolejne przesłuchania szedł z taką myślą. Ciągłe pytali go o to samo, stale powtarzały się pytania o Żubryda i „Słuchawkę”. On uparcie milczał i znowu był katowany.

Pamiętał, że w tych najcięższych momentach żarliwie modlił się do Matki Boskiej. Prosił, aby miał siłę znieść to wszystko. Był w tak ciężkim stanie, że po kolejnych przesłuchaniach ubecy robili mu dwa dni przerwy, a potem znowu było przesłuchanie. Zaczynało się ono o 7 godzinie rano i trwało do około godziny 22 w nocy.

Po którymś z takich przesłuchań został umieszczony w ciasnym i niskim pomieszczeniu piwnicznym, które było zalane wodą. Było ono tak małe, że mógł w nim przebywać tylko zwinięty w „kucki”, po kostki w wodzie. Ile spędził tam czasu, tego nie był w stanie

oszacować. Cały czas modlił się gorąco, aby miał siłę znieść to wszystko. I modlitwa pomogła, został stamtąd zabrany do celi.

Jego widok zszokował więźniów. Byli nim przerażeni. Wyglądał jak strzęp człowieka. Po kilku dniach nastąpiły kolejne przesłuchania, każde połączone z biciem. Naliczył ich około 20. W pewnym sensie uodpornił się na ból. Zapamiętał, że najbardziej bolesnymi wydawały mu się te pierwsze 3-4 przesłuchania. Wtedy najbardziej odczuwał ból.

Przenosili go do różnych cel. Poznawał różnych ludzi. Większość była więziona pod zarzutem udziału w organizacjach niepodległościowych. Niektórzy z nich byli podobnie jak on potwornie skatowani.

Raz trafił do celi, gdzie przebywał tylko jeden więzień. Wypytywał Jana, za co siedzi. Przy nim również do niczego nie przyznał się. Później okazało się, że był on konfidentem więziennym i wiele osób przez niego ucierpiało.

Po jakimś czasie został przewieziony do Brzozowa. Tam znowu był przesłuchiwany i bity. Pytali go o udział w partyzantce, czy brał udział w akcjach, pytali się go o Żubryda, „Brzeszcza” i Rysza z Haczowa. W czasie tych przesłuchań nie katowali go, aż tak jak w Rzeszowie. On uparcie do niczego nie przyznał się.

Gdy śledztwo w PUBP w Brzozowie nie dało żadnych rezultatów, znowu przewieziono go do Rzeszowa. Trafił do dużej sali, gdzie oczekiwało na spotkanie z prokuratorem kilkudziesięciu więźniów. Wśród nich byli tacy, którzy odbywali wieloletnie wyroki więzienia we Wronkach i trafili tu na powtórne śledztwo.

Został przesłuchany przez prokuratora, który straszył go i groził mu konsekwencjami nieprzyznawania się do stawianych mu zarzutów. Także wobec niego Jan do niczego nie przyznał się. Prokurator nie usłyszał od niego nic więcej. Zanotował to i na tym spotkanie skończyło się. W czasie tego przesłuchania nie był bity.

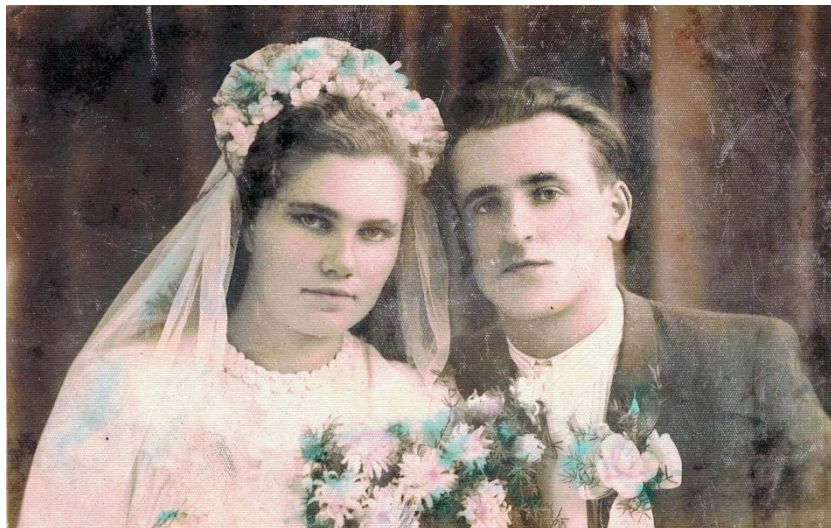
Potem trafił do więzienia na zamku w Rzeszowie. Tam przesiedział około miesiąca czasu. Końcem września 1950 r. został z niego zwolniony w trybie natychmiastowym, bez żadnej rozprawy. W aresztach śledczych UB spędził około 8 miesięcy. Wyszedł bez wyroku skazującego go na jakąkolwiek karę. Był zaskoczony tym zwolnieniem. Przez kilka miesięcy nie mieszkał w domu i ukrywał się. Obawiał się kolejnego aresztowania. Miał ku temu powody, ponieważ „bezpieka” była za nim kilka razy w domu. Rodzice za każdym razem odpowiadali im, że nie wiedzą, gdzie on przebywa.

Potem dali mu już spokój.

Ubeckie metody śledcze odcisnęły się na jego zdrowiu. Ciężko zachorował na serce. Leczył się u wielu lekarzy specjalistów od chorób serca. Wizyty u nich niewiele mu pomogły. Zaczął interesować się ziołolecznictwem. Sam przyrządzał sobie różnego rodzaju mikstury, których stałym komponentem były zioła z pobliskich pól. Opowiadał, że szczególnie pomogła mu nalewka z zielonej pietruszki.

Gdy trochę podleczył swoje zdrowie podjął pracę w cegielni w Zagórz. Było to zajęcie sezonowe, pracował jako palacz.

W 1953 r. ożenił się z Zofią Bajgier z Malinówki. Z tego małżeństwa dochował się dwójki dzieci, Stanisława i Heleny.



Zdjęcie ślubne Jana Kielara i Zofii Bajgier, wykonane w Malinówce w 1953 r. (ze zbioru Jana Kielara)

Na emeryturę odszedł z Zakładu Ceramiki Budowlanej w Rzeszowie. Cały czas prowadził własne, małe gospodarstwo rolne.

W 1992 r. został członkiem Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Odznaczono go Krzyżem Armii Krajowej i Odznaką Weterana Walk o Niepodległość.



Legitymacja Jana Kielara, wydana przez Okręg AK Rzeszów (fot. Lesław Wilk)

Syn Stanisław wspominał, że ojciec przez długie lata bardzo mało i niechętnie opowiadał o tym, co przeszedł. Potrafił instynktownie wyczuwać intencje swoich rozmówców. W wielu przypadkach dawał im ostentacyjnie do zrozumienia, że nie chce z nimi rozmawiać na ten temat i odchodził od nich bez słowa.

Jan Kielar dochował wierności przysiędze Armii Krajowej i wywiązał się ze swoich żołnierskich obowiązków najlepiej jak tylko potrafił. Nie złamali go ubeccy zwyrodnialcy z Brzozowa i Rzeszowa. Swoim męczeństwem oszczędził cierpienia innym uczestnikom działalności niepodległościowej. To on swoją niezłomną postawą złamał oprawców. Nikt z jego katów nie poniósł odpowiedzialności za swoje czyny, pozostali oni bezkarni.

Jego przykład dowodzi, że w naszym państwie nadal brakuje elementarnej sprawiedliwości społecznej.

Wobec jej braku pozostaje moralnym obowiązkiem przypominanie losów naszych bohaterów.

Janowi Kielarowi przyszło żyć w przełomowych dla Polski czasach. W najtrudniejszych chwilach zawsze wiedział, jaki wybór był tym właściwym. Walczył niezłomnie za wiarę i ojczyznę. Jego postawa życiowa pięknie wpisuje się w słowa „W dobrych zawodach wystąpiłem, bieg ukończyłem, wiary ustrzegłem” (2 Tm 4, 7).

Kończąc, autor pragnie gorąco podziękować Stwórcy za dar długiego życia Jana Kielara, a jemu samemu, Niezłomnemu Bohaterowi, dziękuję za to, że był dobrym żołnierzem.

Opracował: Lesław Wilk